OSKA KARTA

BEZ DEBITU

KWARTALNIK NIEREGULARNY BIAŁYSTOK

nr 2

O D R E D A K C J I

W związku z nieporozumieniami, które wywołał pierwszy numer naszego pisma, z niejakim zażenowaniem - bo wydawało się to nam oczywiste-oświadczamy:

- nie występujemy przeciwko regionalnym strukturom NSZZ "Solidarność", choć zastrzegamy sobie naturalne prawo do ich krytyki,
- nasze pismo nie jest organem jakiejkolwiek struktury a publikowane w nim teksty reprezentują poglądy /różne/ poszczególnych autorów,
- inaczej myślących zapraszamy do nadsyłania swoich tekstów,
- wszelkie podobieństwo nazwisk sygnujących artykuły do nazwisk jakichkolwiek osób jest przypadkowe.

Redakcja dziękuje Danucie za 2.

Zapiski z „oblężonego miasta"

czyli o przyczynach braku dialogu polsko-białoruskiego

Zacznę od cytatu /przydługiego/
"Za mojej pamięci /.../ cała ogromna część Europy, leżąca między morzem Bałtyckim, morzem Czarnym i Adriatykiem, była jedną wielką szachownicą ludów, pełną wysp, enklaw i najdziwniejszych kombinacji ludności mieszanej. W wielu miejscach każda wieś, każda grupa społeczna, każdy zawód niemal mówił odmiennym językiem. W mojej ojczystej dolinie średniego Dniestru ziemianie mówili po polsku, włościanie po ukraińsku, urzędnicy po rosyjsku z odcieniem odeskim, kupcy po żydowsku, cieśle i stolarze - jako filiponi i starowierzy - po rosyjsku z odcieniem nowogródzkim, kabannicy mówili swoim własnym narzeczem. /.../ Wszystkie te odcienie narodowości i języków znajdowały się nadto w stanie częściowo płynnym. Synowie Polaków stawali się nieraz Ukraińcami, synowie Francuzów i Niemców - Polakami. /.../ Wielu stosunkowo zmieniało język ojczysty, ale żaden z tych języków nie ginął. /.../ Gdy jedna z tradycji narodowych zaczynała słabnąć, z narodowości sąsiednich przybywali neofici, by ją podtrzymać".

Cytat ten zaczerpnięty z eseju emigracyjnego pisarza Jerzego Stempowskiego, mógłby być znakomitą pointą każdych rozważań o stosunkach między narodami. Oczywiście po wcześniejszych opisach walk, manipulacji, nienawiści, zbrodni etc. Jako promyk nadziei na przyszłość, jako że "historia kołem się toczy".

Zatem ustawiając go na początku pozostawiam sprawę otwartą, nie wierząc w nieodwołalne wyroki "postępowej Historii".

Ten nieco idealizujący zapis Stempowskiego, który łatwo można rozbić przytaczając niepiękne tzw. fakty, jest jednak bardzo ważny. Pozwala uświadomić sobie czym jest Europa. Bowiem niezależnie od treści jaka się kryje pod tym pojęciem jest ona przede wszystkim zadaniem dla każdego, kto czuje się Europejczykiem. Na czym polegało i polega to zadanie w dziedzinie

stosunków między wspólnotami etnicznymi - kiedyś i narodowymi - dzisiaj? Przede wszystkim na pielęgnowaniu postawy otwartości. Pluralizm europejski widoczny w każdej dziedzinie życia, nauki i twórczości jest wynikiem akceptowania jako wartości uniwersalnych tego co pierwotnie było lokalne. Czynnikiem jednoczącym było tu oczywiście chrześcijaństwo i kultura śródziemnomorska, grecko-rzymska. Nie znaczy to, że proces ten był bezkonfliktowy. Wprost przeciwnie, walka, spór, czy nawet nienawiść i uprzedmiotowienie były drugą stroną tego medalu. I co ciekawsze pozytywy i negatywy wydają się być równo podzielone na obie strony. Początkowa otwartość nie zawsze owocowała trwałą tolerancją, za to zwycięzcy bardzo często przejmowali wartości zwyciężonych. Czyż to nie te cechy idei europejskiej zadecydowały o jej duchowej, kulturalnej i politycznej nośności i atrakcyjności, tak że jeszcze dzisiaj "najwyższe czynniki państwowo-partyjne" w Chinach musiały wydać walkę wpływom "burżuazyjnego liberalizmu"?

Od kilku dziesięcioleci mówi się dużo o kryzysie Europy. Czy słusznie? - Nie wiem. Jestem jednak przekonany, że nie może to prowadzić do zanegowania tego co tak nieudolnie wyżej naszkicowałem. Dlaczego? Bo nie ma innej alternatywy. Kto jak kto, ale my powinniśmy wiedzieć to najlepiej. Czyż człowiek skomunizowany to nie taki, który"żyje i umiera w samotności"?

A czyż naród skomunizowany to nie taki, który obronę nacjonalistycznie pojętej tożsamości uczynił swym najważniejszym zadaniem?

Droga do "Europy ojczyzn" jeszcze daleka, lecz przecież pewne kroki, wcale znaczące już poczyniono /choćby kraje EWG/. Zupełnie inaczej wygląda to w "naszym obozie". Deklaracje i praktykę reżimów komunistycznych w dziele zbliżenia narodów Europy Wschodniej mamy możność obserwować na codzień i w szczegółach. Skutek tych dzia-

łań wiadomy - nienawiść do Sowietów i pogarda oraz lekceważenie do "demolubów". Objawy sympatii mieszczą się na tej samej osi reakcji emocjonalnych - często zresztą przekształcają się w zniecierpliwienie. Czy jednak wszystkiemu winni są komuniści?

Oto w obiegu niezależnym ukazała się książka Kazimierza Podlaskiego "Białorusini, Litwini, Ukraińcy - nasi wrogowie czy bracia?", której wymowa, dobrze określona przez tytuł, jest dla mnie tragicznym nieporozumieniem. Niezależnie bowiem od samoświadomości i intencji autora wskazuje na jakim poziomie dyskutuje się w Polsce problem stosunku do narodów, które bez mała 500 lat współtworzyły kulturę polską oddając jej swe najlepsze soki /z własnej woli zresztą/. Czyżby komuniści mieli rację, obwieszając kilka lat temu wszystkie płoty hasłem: "Polska ma 40 lat"?

Wiadomo już skąd się biorą rozpowszechniane na Białostocczyźnie i nie tylko poglądy, że Białorusini /"kacapy"/ to sowiecka agentura. Jakże chętnie przywoływane są wspomnienia budowania "bram powitalnych" przez wsie białoruskie, albo udział Białorusinów w "umacnianiu władzy ludowej", albo i dziaj rzekome obsadzanie przez nich wszystkich ważniejszych stanowisk. Wypomina się, że BTSK jest finansowane przez MSW - jakby to od nich zależało. Sami Białorusini nie są tu "bez winy" - oto w Hajnówce powstaje Muzeum Kultury Białoruskiej i Ruchu Rewolucyjnego /sic!/. O co tu chodzi w tych wszystkich pretensjach? O dostęp do pogardzanego ale i nęcącego żłobu?

Jestem niesprawiedliwy. To prawda. Uogólniam niepotrzebnie. Też prawda. Spróbujmy jednak dociec dlaczego Białorusin, Ukrainiec, Żyd, Litwin czuje się w dzisiejszej Polsce źle, do tego stopnia, że czuje się zagrożony w swym narodowym jestestwie. Wyjaśnienia historyczne niewiele tu raczej pomogą. Kończy się to najczęściej licytacją doznanych krzywd. Korzeni tego stanu trzeba szukać

głębiej, w świadomości indywidualnej i zbiorowej jako pewnym ethosie. Nazwałbym go po orwellowsku nacjonalizmem ofiary. Przejawia się on często w sposób tak zakamuflowany, że aż trudny do rozpoznania. Oto dwa przykłady najlepszych intencji braci Polaków do braci Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Wspomniana już książka K.Podlaskiego oraz model przyszłego kształtu Europy środkowej zawarty w programie "Polska i Międzymorze". Obydwa świadectwa dzieli bardzo wiele, jednowszakże łączy je dość wyraźnie. Koncepcja wspólnego wroga wszystkich narodów tej części Europy. Zwyczajna rusofobia, którą dziś określa się zgrabną formułką "obrony wartości narodowych przed sowietyzacją". Nie przeczę, że rusyfikacja w ZSRR jest jedną z dominant polityki tego państwa i jest dla wielu narodów poważnym zagrożeniem /znakomicie pokazuje to książka M.Garrere D'Encausse "Spękane Imperium", wyd. Głos 85/, ale wyciąganie z tego wniosków, że można bezkarnie zrusyfikować 50 mln Ukraińców czy chociażby 10 mln Białorusinów jest bajką i mydleniem oczu. Na dodatek o dość niebezpiecznych, bo niemożliwych do przewidzenia konsekwencjach. Bo czym może się skończyć budowanie kultury politycznej społeczeństwa na uczuciu nienawiści? Lepiej nie myśleć.

Białostocczyzna jest obszarem, na którym mieszkają dwie narodowości będące ofiarami rosyjskiego ekspansjonizmu. I nic z tego nie wynika pozytywnego. Wzajemna wrogość lub co najwyżej nieufność. Ofiary bowiem lubią kogoś obwiniać za własne klęski. I tak będzie zawsze jeśli na sprawę tożsamości narodowej będzie się patrzeć z perspektywy politycznej. Patrząc na dzisiejsze społeczeństwo polskie można wysnuć wnioski głównie pesymistyczne. Hasła społecznej i politycznej samoorganizacji podbudowanej katolicką obrzędowością nie mają dziś realnej alternatywy w świadomości Polaków. Państwo - ale nie komunistyczne tylko "nasze"

- urosło do rangi wartości najwyższej. Bo dlaczego np. nikt nie waży się politycznie podważyć całej tej idiotycznej koncepcji państwa o piastowskich granicach. A swoją drogą ciekaw jestem, za którego to Piasta Białostocczyzna /cała/ należała do Królestwa Polskiego?

Paradoksalnie bowiem najbardziej białą plamą w świadomości historycznej Polaków jest to co można znaleźć w każdym podręczniku szkolnym, choćby najbardziej zakłamanym, że na Polskość składa się tradycja nie tylko Krakowa, Warszawy czy Gniezna lecz także Wilna, Lwowa i Berdyczowa.

Dopiero z takiej perspektywy można dostrzec nie braci, nie wrogów i nie sojuszników, ale ludzi i narody choćby słabo zorganizowane i nie przejawiające woli mocnego oporu wobec sowietyzacji.

Stop. Nie chodzi mi tu o oskarżanie Polskości jako źródła wszelkiego zła.

Może trochę z innej beczki. Przykład bardziej neutralny. Oto zarówno ze strony opozycji jak i różnych środowisk związanych z władzą rozlegają się hasła sanacji moralnej kanalizowane najczęściej na "walce z patologiami społecznymi" różnie zresztą formułowanymi. Większość społeczeństwa kojarzy to z odnawianiem etyki katolickiej, która często w popularnej formie kryje się pod płaszczykiem "moralności socjalistycznej". Może jest to droga słuszna, ale czyż nie stawia poza nawiasem ludzi innych wyznań i narodowości?

Ależ tak. Gdzie jak gdzie, ale na Białostocczyźnie ruch ekumeniczny powinien już dziś być czymś realnym a jest nic nie znaczącym marginesem. Nie pamiętam bym kiedykolwiek w kościele usłyszał cokolwiek o prawosławnych. Dlatego do dziś nie słychać innych określeń jak "ruskie święto".

Przykłady można mnożyć. Nie da się też zrzucić przyczyn tego stanu rzeczy na jakieś szczególne ułomności mieszkańców Białostocczyzny.

Pora zatem ujawnić własną diagnozę. Uważam,

że jest tą przyczyną brak autentycznych rodzimych wartości, które mogłyby być punktem odniesienia dla Polskości.[1] A sam katolicyzm to zbyt mało by wyrwać się z jednostronności, w której tkwimy po uszy. Jednostronności, która polega na tym, że wszystko co ze Wschodu to złe. Zachód wprawdzie nie rozumie naszej misji ale w zasadzie jest dobry. Jeśli na dodatek uświadomimy sobie, że Białorusini, na dodatek prawosławni, to przedstawiciele Wschodu, to pozostaje zadać pytanie: "Co oni u nas robią?" No, chyba, że opowiedzą się po stronie "słusznych wartości".

Ten ironiczny akcent jest może niepotrzebny. Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że wyrzucając innych poza nawias Europy /"Bo cóż to w końcu za naród, który wyrzeka się własnego języka"/ sami przestaliśmy do niej przynależeć.

S-ka

1/ Takie wartości mogłyby się zrodzić z tradycji lokalnych, które przy tak scentralizowanym modelu życia i kultury są co najwyżej folklorystycznymi lub muzealnymi ciekawostkami. Tak zresztą traktuje się mniejszości narodowe w Polsce.

W sosie radzieckiej reformy

"...Albo demokratyzacja albo społeczny bezwład i konserwatyzm. Innej możliwości nie ma..."

Michaił Gorbaczow

Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom. W moim pojęciu do takich rzeczy należą na przykład kwanty, kwarki, czarne dziury, nieskończona ale ograniczona przestrzeń, pętle czasu i to wszystko co dzieje się teraz w Związku Radzieckim, co dociera do nas fragmentarycznie i jakby w krzywym zwierciadle, a czego jeszcze rok wcześniej nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby przewidywać. Kto wie zresztą czy nie złapaliśmy się właśnie w jakąś przedziwną pętlę czasu albo czegoś innego rodem prosto z Science Fiction. Fantastycznych wizji, nadziei i oczekiwań związanych z radzieckim "przyspieszeniem" jest bowiem chyba jeszcze więcej niż opowieści fantastyczno-naukowych.

Słucham tego wszystkiego i dziwię się coraz bardziej, ale głównie mankamentom pamięci ludzkiej skłonnej tak łatwo zapomnieć doświadczenia kilkudziesięciu lat i dać folgę niewczesnym nadziejom na różową przyszłość, kwitnącą liberalizację i odbudowę gospodarczą. Przypomina mi to niekiedy rojenia pewnych biznesmenów amerykańskich oczekujących, że podniesiony za utopione tam pieniądze poziom życia obywateli ZSRR spowoduje zwiększenie wolności, demokratyzację życia, wzmoże postawy konsumpcyjne i w efekcie wybije z głowy Rosjanom imperialistyczne apetyty. Nic takiego przecież się nie stało i nie widzę po-

wodów dlaczego miałoby się stać obecnie - przeciwnie, wszystkie zgarnięte dobra i fundusze posłużyły do dalszego wzmocnienia sektora wojskowego wskutek czego radziecka armia może być wkrótce najsilniejsza na świecie. /O ile już nie jest, bo o tym w końcu nikt nic pewnego powiedzieć nie potrafi/.

Radziecka armia. Otóż to. Przyjrzawszy się bliżej systemowi można by chyba dojść do wniosku , że właśnie ona stanowi rozwiązanie tajemnicy obecnych przemian, bo nie uwierzę nigdy, że wpadła na to trzymająca władzę polityczną elita niezdolna przez tyle lat do żadnego manewru. Rządy samokooptującej się oligarchii należą przecież do najbardziej konserwatywnej formy rządów znanych ludzkości. /Fakt to sprawdzony historycznie od wielu stuleci, toteż nawet nie próbuję go podważać/. Wszyscy tam szachują się wzajemnie, układ sił i wpływów jest trwale ustalony, bo naruszenie go spowodowałoby wysadzenie części "władców" z siodła, a o to, żeby nie być wysadzonym dbają oni przede wszystkim. Toteż żadne gwałtowne reformatorskie wyskoki nie mogą się przydarzyć w tak zrównoważonym gronie, gdzie wszyscy od wszystkich są uzależnieni i gdzie może się dostać tylko taki człowiek, który pasuje do już istniejącego towarzystwa.

Z tych samych powodów nie uwierzę również, aby sprawcą przemian mógł tam zostać jeden człowiek nie trzymający sprzymierzeńców za mordę i nie wybiwszy uprzednio wszystkich swoich przeciwników, nawet jeżeli jest nim I sekretarz KC KPZR Michaił Gorbaczow. Najmniej zresztą powinni w to wierzyć sami Rosjanie przekonujący tyle czasu świat o nieistotności jednostki w procesie historycznym, natomiast o doniosłym wpływie na przebieg dziejów poziomu sił wytwórczych, świadomości społecznej, mas, walki klas i paru innych głupstw.

Będąc z wizytą u wielkiego sąsiada można naocznie się przekonać - jeżeli trafi się na rozmówców,

co rzadkie, ale też na podstawie różnych oznak materialnych - że funkcjonuje tam już nowy typ człowieka. /Nowy stworzony przez rewolucję człowiek - o tym marzyli jej najwięksi luminarze/. Człowiek ten nie wierzy już w nic, chociaż mechanicznie reaguje na płynące zewsząd pozbawione znaczeń slogany realnego komunizmu i wykonuje - równie mechanicznie - przekazywane mu polecenia. Przeciętny obywatel radziecki podlega korupcji bardziej może niż każdy inny na świecie, a że często nie odróżnia już kłamstwa od prawdy przychodzi mu to chyba łatwiej.

Jedyne, co pasjonuje jeszcze pozbawiony nadziei i wpływu na cokolwiek naród, to idea wielkiego imperium, najpotężniejszego i wiodącego państwa na świecie - tego państwa, które ma zwyciężyć. Kodowanie tej idei umożliwia utrzymanie spójności społeczeństwa i daje furtkę do snucia marzeń, które większość ludzi z samej natury rzeczy mieć musi. Uczestnictwo w realizacji idei /tzn. kariera w wojsku lub w instytucjach z nim związanych/ jest dla wielu jedynym sposobem życiowego startu i poprawy warunków materialnych. Mając jakąś nadzieję i realne szanse człowiek pracuje lepiej, nie rozumiem zatem skąd się bierze wieczne zdziwienie, że sektor wojskowy pracuje w ZSRR sprawnie, rozwija się i rośnie w siłę przy ogólnym rozpadzie reszty gospodarki. Do dziś urósł już w siłę na tyle, że uniezależnił się praktycznie od władz politycznych, chociaż poczytywanie go za siłę odrębną byłoby dużym błędem i świadczyłoby o nieznajomości realiów. Sektor ten to przecież owoc i kwintesencja działalności systemu, jego najdroższy i najukochańszy płód, żyjący w symbiozie z władzą polityczną i gwarantujący jej trwałość oraz bezpieczeństwo. Nic też dziwnego, że na utrzymanie i rozwój tego płodu pracuje cały organizm i że jego interesom podporządkowane są od dawna wszystkie decyzje polityczne.

Tak rozwinięta armia musi jednak poza własnym doskonaleniem realizować główny cel swojego istnienia, inaczej rozwój jej pozbawiony byłby sensu, co w końcu /bardzo lubię teorię ewolucji/ doprowadziłoby do uwiądu tego organu. I realizuje.

Obserwuję pilnie doniesienia o Kraju Rad od lat mniej więcej piętnastu i widzę rzecz bardzo znamienną. Wszystko co tam ważne i istotne dotyczyło spraw polityki zagranicznej, gry militarnej i prób ekspansji terytorialnej. Wewnątrz kraju nie działo się absolutnie nic nowego i istotnego.

Mniemam więc teraz i mam nadzieję, że słusznie, iż obecna reforma wynika w prostej linii z potrzeb i aspiracji ukochanego dziecka systemu, które widocznie weszło właśnie w okres dojrzewania i "oceniło", że pozostałe członki organizmu macierzystego pracują dla niego zbyt mało wydajnie, po czym zgodnie z realizowaną od dawna regułą działania skutecznego "spowodowało", że został w praktyce zastosowany jedyny sposób dający realne szanse rzeczywistego zwiększenia tej wydajności. I to by się chyba zgadzało z moim wewnętrznym przekonaniem o niemożliwości reform forsowanych przez Gorbaczowa, gdyby nie miał za sobą wpływowej zorganizowanej siły, dla której byłyby one korzystne.

Powody i przyczyny takiej"oceny" jawią mi się jako plątaniną różnych czynników i światowych układów sił na czele z Chinami, które właśnie wszczęły ostry start o palmę pierwszeństwa. Bieg to może być długofalowy, ale Chińczycy - wiadomo - naród liczny, cierpliwy i pracowity. Z jedną, znaną na wylot Ameryką można by chyba było jeszcze zasypiać gruszki w popiele. W obliczu dwóch mocarstw i aspiracji własnego społeczeństwa trudniej, zaś sytuacje trudne sprzyjają na ogół szybkiemu dojrzewaniu, a więc...

Tylko skóra cierpnie jak się pomyśli o skutkach tej dojrzałości i erze, w której dorosłe już dziecko systemu przystąpi do samorealizacji, a celem

głównym każdej armii jest przecież opanowanie, podbój i zniszczenie przeciwnika.

Swoją drogą zadziwiająca jest jednak ta sowiecka reforma. Wydawałoby się, że reforma wprowadzana odgórnie w tak bezwładnym systemie i bezwładnym społeczeństwie wykonującym stawiane żądania tylko na tyle żeby nie naruszyć własnego bezpieczeństwa - nie może się powieść. Tym bardziej, że burzy święty spokój wszystkich szczebli nomenklatury, dodając pracy, stawiając nowe, różne od dotychczasowych wymagania i zostawiając mniej czasu na zajmowanie się własnymi interesami i karierą. Jest zatem sprzeczna z interesami wszechwładnej administracji i powinna napotkać jej zdecydowany sprzeciw. Tymczasem toczy się dalej, sięgając po środki tak z natury wrogie ustalonemu porządkowi jak demokratyzacja i to, o zgrozo, w sferze gospodarki. Ogłoszony niedawno w ZSRR i poddany "publicznej konsultacji" projekt nowej ustawy o przedsiębiorstwach państwowych przewiduje ni mniej ni więcej tylko prowadzenie ich działalności w oparciu o rachunek ekonomiczny i samorządność, włącznie z wybieralnością dyrektorów. /I pocośmy się tak mordowali za Odnowy - Sowieci zrobią to za nas i bez porównania lepiej/.

Jeśli już mowa o demokratyzacji to niezwykle zdumiewa ta reforma w sferze kulturalnej. O tym, że się raptem świat i ludzie radzieccy dowiedzieli o istnieniu wielu zapomnianych, ukrytych i zakneblowanych dotąd talentów wszyscy już wiedzą. Istotniejsze, że poznają także ich dzieła i nieprawomyślne myśli, a myśl, o ile mi wiadomo, to coś, co nie da się całkowicie kontrolować, zwłaszcza jeżeli zaczynają myśleć tłumy. Wypuszczają więc reformiści diabła spod korca. Ciekawe, kiedy zacznie pokazywać rogi, bo dochodzą słuchy, że reforma chwyta i niektórzy zaczynają się udzielać. Zwiększona aktywność społeczna - a o to przecież

chodziło - może objawić się szybkim wzrostem aktywności myślenia. I co będzie, jeżeli nowy człowiek radziecki wpadnie na pomysł, że lepiej jednak być po bożemu człowiekiem starym /kościoły też otrzymały pewne fory może w nadziei, że uda się je do czegoś wykorzystać - w końcu cel uświęca środki/ i zacznie żądać praw prawdziwie ludzkich i demokratycznych?

Ale to już galopada zbyt odległa. Tu odzywa się we mnie Europa, a tam przecież Azja i Komunizm, i armia wreszcie, która czuwa. A gdyby nawet, to też nam nic po tym, tyle, że każda ujrzana tam twarz człowieczą tak tu nas po ludzku cieszy. My jesteśmy kolonią, krajem podporządkowanym, uzależnionym ekonomicznie i wojskowo. Nie dla nas te frykasy. Nam pokazano wojną co władza myśli o reformie u nas. W Polsce cenzuruje się Gorbaczowa i materiały publikowane w Związku Radzieckim. My mamy dobrze i wiernie służyć. Jak pies, który liczyć może tylko na ochłap z pańskiego stołu. Chyba, że sam siłą coś wyszarpie. Zatem precz niewczesne nadzieje, wracajmy do kryzysu, liberalizacji po polsku i 80 dolarów na minutę, o które wzrasta nasz dług narodowy, czego nikomu nie życzę.

IBD

Notatki bez przeznaczenia

Oczekiwanie na przyjazd papieża. Może się mylę, ale jakby było w nas mniej nadziei. Nie dostrzegam tej charakterystycznej atmosfery podniecenia, tego graniczącego z wiarą w cud napięcia w wychyleniu ku najbliższej przyszłości. Nasze rozmowy nie świadczą o nadchodzącym w y d a r z e n i u. Trzecia pielgrzymka papieża - Polaka jest tematem pośród

wielu innych. Ciekawe, czy papież dostrzeże tę zmianę, która zaszła w sercach jego wiernych rodaków? A jeżeli tak, to czy da temu wyraz w swoich kazaniach?

Rzecz jest chyba symptomatyczna. Kościół mówi o wydarzeniu historycznym: przecież łączy się z pielgrzymką papieską Krajowy Kongres Eucharystyczny. Polska przez kilka czerwcowych dni będzie niemal sercem rzymskiego Kościoła. W obliczu takiej szansy, na jej progu niejako, społeczeństwo polskie jest - delikatnie mówiąc - powściągliwe. Jakby mówiło, że tyle już było tych historycznych okazji, tyle włożono w nie nadziei i wysiłków... Okazały się one daremnymi. Czy można więc dziwić się owej powściągliwości? Nie chcę powiedzieć, że na myśl o spotkaniu z papieżem nie biją żywiej serca, nie - tylko dłonie zwisają bezradnie. Zmęczone, odwykłe od entuzjazmu zwycięskich oklasków.

X X X

Nasze miasto Białystok. Jedno z tych, którym przewalające się fale II wojny światowej starły z oblicza wszystkie niemal charakterystyczne rysy. Zniszczone niemal doszczętnie w swym materialnym kształcie, poniosło też stratę stokroć bolesniejszą: utratę tradycji. Zniknęło w wojennej zawierusze wszystko, co stanowiło o jego tożsamości.

Bowiem prawdą jest, że była to prowincja, ale szczególnego rodzaju - nie tyle głęboka, co daleka. I nie tyle z tyłu za wszystkimi, ile po prostu n a k r e s a c h. Dlatego po wojnie, gdy na poczet przyjaźni zwycięski sąsiad amputował nam wschodnie rubieże, Białystok stał się zupełnie innym miastem. Przestał się rozpoznawać.

Kresy to jednak nie tylko geografia - może nawet przede wszystkim są one zjawiskiem z dziedziny kultury. Przecież wokół nas nadal żyją Białorusini, jest też wielu Litwinów. Zniknęli

co prawda Żydzi ale i tak tygiel narodowościowy jest reprezentowany dość barwnie, aby było z kim dyskutować, kogo podglądać i czemu się dziwić. Zamiast tego mamy wyścig do władzy, wrogość, zawiść i podejrzliwość. Powiedzmy, że było tak zawsze - zgoda, ale czy tylko?

Sądzę, że może być inaczej, tylko trzeba by przełamać barierę real-socjalistycznej organizacji społeczeństwa. W warunkach PRL niemożliwe stało się przenikanie kultur - jest przecież jedna oficjalna jej wykładnia. Bez wolnej prasy, wolnych wydawnictw, niezależnych stowarzyszeń mniejszości narodowych dialog jest fikcją. To głównie dlatego Białystok po wojnie nie mógł odnowić swej tradycji. Może niewielkiej, ale przez to tym bardziej znaczącej.

I tu dopiero można postawić karkołomne pytanie: czy można to naprawić? czy Białystok mógłby stać się ponownie miastem na kresach? Teraz byłby miastem jedynym.

X X X

Reforma, czy jak kto woli "pieriestrojka" w Związku Radzieckim ciągnie się już czas jakiś budząc zrozumiałe zaciekawienie - jak jeszcze długo? Równie burzliwe emocje budzą rozmaite spekulacje na temat ewentualnych korzyści wypływających z tego dla nas. Wylewa się z tej przyczyny rzeki atramentu i morza drukarskiej farby. Również w naszej niezależnej prasie. Proszę, jakich czasów dożyliśmy: ZSRR jest "hitem" i co więcej, pozytywnym! Któż teraz będzie mógł opozycji polskiej zarzucić antyradzieckość?

Inna rzecz, że wśród prawdziwej masy publikacji o "pieriestrojce" niewiele można znaleźć wypowiedzi istotnych. Tym bardziej warto podkreślić artykuł Janusza Białołęckiego w 201 numerze "Tygodnika Mazowsze". Sprawę szansy Polski w kontekście

zmian zachodzących u wielkiego sąsiada rozstrzyga on przytaczając znamienny przykład z historii: stosunek cara-reformatora Aleksandra II do kwestii ulżenia doli pozostającym pod jego panowaniem Polaków. Okazało się wówczas, że interesy imperium są w oczywisty sposób ponad wszelkimi reformami.

Może warto przypomnieć postawę prekursora radzieckich reform - Nikity Chruszczowa. Ten stukający pantoflem w pulpit wobec zgromadzonych przedstawicieli Narodów Zjednoczonych dobrotliwy fanatyk kukurydzy, potrafił jednak w Październiku ostrzegać Gomułkę przed konsekwencjami zdrady sprawy komunizmu. Wojska radzieckie znajdowały się zaś o parę kilometrów od Warszawy. W ten dramatyczny sposób powiadomił on społeczeństwo polskie, że "co wolno wojewodzie..." Dlatego bliskie mi są poglą[illegible] J.Białołęckiego, gdy pisze on, iż "póki co szansa na wprowadzenie jakichś mechanizmów demokratycznych w Polsce oparta być musi na zaakceptowaniu przez Moskwę naszego "prawa do inności", do posiadania instytucji społeczno-politycznych odbiegających znacznie od wzorca radzieckiego". A to już zależy bardziej od nas samych.

Fakt, że z leżącym przez ostatnie kilkadziesiąt /kilkaset?/ lat w syberyjskim lodzie mamutem zaczyna się coś dziać, nie budzi większych zastrzeżeń. Spory zaczynają się w momencie, gdy próbuje się owe zmiany bliżej sprecyzować. Moim zdaniem mamut drgnął, ale nie dzięki własnym mięśniom - to lód wokół niego trochę stopniał. Społeczeństwo wielkiego imperium pogrążone jest wciąż jeszcze w letargu. Na jego głos przyjdzie nam jednak trochę poczekać.

x x x

Jesteśmy krajem satyrycznym, komicznym, kabaretowym - niektóre formy urządzeń społecznych na przykład są w swym nonsensie naprawdę śmieszne. Przypominają publiczną demonstrację perpetuum mo-

bile: ociekają się o doskonałość tylko po to by za chwilę ponieść kompletną klapę. Każdy potrafi to przewidzieć, a jednak kolejne pokazy odbywają się z nie mniejszą pompą. I za każdym razem gdzieś na dnie duszy widza organizatorzy tej pożytecznej zabawy potrafią obudzić irracjonalny niepokój - a nuż się uda?

A jednak na pewno nie jesteśmy krajem wesołym. Coraz gorzej wiedzie się poszukiwaczom spraw wywołujących szczerą radość. Z czego nie wynika bynajmniej, iż należałoby takich czynności zaprzestać. Natura oprócz próżni nie znosi też czarnowidztwa. Życie musi się toczyć...

Mam w tym względzie swoją propozycję. Sprawą, która tchnęła we mnie ostatnio nieco optymizmu jest rosnąca trudność uprawiania opozycji. Sam przegląd tematyki podejmowanej w naszej prasie wypada już imponująco. Zajmuje nas wszystko: od pomocy bezdomnym po grę na mocarstwowych szczytach. Ale jak to realizować w konspiracyjnych w większej części warunkach? Jak może sobie z tym poradzić oddana i doświadczona, ale nieliczna wszak kadra działaczy? Odpowiedź jest jednoznaczna: teraz nie może. Zródłem optymizmu staje się natomiast przyszłość.

Przyjmując strategię "długiego marszu" skazaliśmy się na odejście od doraźności, więcej, zmusiliśmy się do działań konstruktywnych. Pomimo tego przez długi czas pozostawaliśmy w ramach opozycji "antywojennej". Operując prostymi postulatami sprawiedliwości społecznej i praworządności liczyliśmy na wzbudzenie dzięki nim masowego protestu. Nie dało to spodziewanych rezultatów. Dopiero teraz próbujemy wprowadzić do krajobrazu społecznego i politycznego Polski konkretyzacje tych postulatów. To zaczyna liczyć się coraz bardziej - konkretne inicjatywy i skupieni wokół nich ludzie. Jeżeli do opozycji przychodzą ludzie aby coś zrobić a nie wyrazić jedynie swój

protest, to taka aktywność jest w moim rozumieniu szansą. Choć z pewnością trudną do zrealizowania - jednak w jakiś odczuwalny intuicyjnie sposób logiczną. To jakby pierwsze działanie w systemie logiki sukcesu.

X X X

Mówi się, że Sierpień był cudem. To pojemne pojęcie wyraża zarówno optymizm zwycięstwa jak i bezradność metodologiczną - radość z przeżycia wolności połączoną z niemożnością opisania drogi, która do niego doprowadziła. Pojawiły się już z dużą wyrazistością konsekwencje takiego stanu świadomości.

W pierwszym rzędzie wywiera to wpływ na działaczy opozycyjnych, zwłaszcza tych, dla których Sierpień był początkiem zaangażowania społecznego. Opozycja dzisiejsza próbująca wywalczyć podmiotowość społeczeństwa czyli - mówiąc inaczej - wytyczyć drogę do wolności staje się dla nich zadaniem ponad siły. Doświadczenie zdobyte przez nich uczy, że zwycięża się dzięki masowemu, spontanicznemu poparciu środowiska. Natomiast przełomowy moment n a r o d z i n tego poparcia odsyłany jest w nieokreśloną dziedzinę mitu: wiadomo jak wykorzystać solidarność, nie wiadomo jak ją zbudować. A przecież właśnie to jest dziś zadaniem opozycji. Stąd tak często narzekania na bierność, obojętność i wygodnictwo społeczeństwa. Prawdziwe ale świadczące o bezradności.

Zresztą mit Sierpnia odciska swoje piętno na nas wszystkich. Jest obecny przede wszystkim w ideologii Wielkiego Zrywu: za kilka lat będzie kolejny wybuch... Jak każdy mit jest on przechowalnią społecznej nadziei. Z tym, że jest to taka wizja, na spełnienie której nie trzeba pracować. Przyjdzie niespodziewanie i zawsze nas zaskoczy... Zawsze tak było. W ten sposób bierność uzyskuje

nie tylko usprawiedliwienie lecz coś o wiele większego: uzasadnione miejsce w porządku wyznaczanym przez nadzieję. Uzyskuje sankcję jako naturalny element przemian społecznych wiodących ku podmiotowości.

Sierpień jako cud, Sierpień jako katastrofa. Ile jeszcze trzeba zrobić aby wiara nie zastępowała konieczności poznania? Ile, by pojąć, że są to wartości bliźniacze?

X X X

Od 11 września minęło już pół roku z okładem i pora zastanowić się, w którym miejscu jesteśmy. Wszak miała to być według zapewnień władzy niemal nowa epoka.

Generalnie można wyodrębnić dwa typy poglądów na okres po wrześniowej amnestii. Charakterystyczne, że różnice między nimi nie polegają na odmienności wniosków końcowych, a raczej na sposobie dochodzenia do nich, na przyjętej metodzie opisu.

Pierwszy posługuje się w analizie kategoriami taktycznymi. W jego ujęciu wydarzenia ostatnich miesięcy jak amnestia czy powołanie Rady Konsultacyjnej były jedynie socjotechnicznymi chwytami w ramach niezmiennej strategii władzy. Oznacza to przypisywanie władzy celów jedynie doraźnych, służących opanowaniu bieżących problemów, a poza tym tylko chęć utrzymania status quo. W takim ujęciu amnestia jest odebraniem opozycji argumentu prześladowań, zaś powołanie Rady Konsultacyjnej - próbą wciągnięcia w orbitę polityki władzy Kościoła. Cel pierwszy powiódł się częściowo, nie przynosząc jednak oczekiwanego przez rząd wzrostu prestiżu międzynarodowego; cel drugi zakończył się klęską. Stąd też obecnie władza zaprzestała czynienia tego rodzaju posunięć i można mówić o końcu etapu "otwarcia".

Drugi typ poglądów na powrześniową rzeczywistość operuje analizą polityczną. Stara się uchwycić z chaosu niejasnych deklaracji i przemówień zagmatwanych dodatkowo sprzeczną nieraz propagandą intencje polityczne władzy, o charakterze długofalowym. Zakłada on, że poza chwytami policyjnymi kryją się jednak pewne próby polityczne, że władza rozumie już niemożność utrzymania status quo bez przeprowadzenia zmian. Więc w tym ujęciu amnestia będzie sondą na żywotność i stopień radykalizmu podziemia służącą poszukiwaniu ewentualnych partnerów /tak można rozumieć zezwolenie na oficjalną edycję pisma "Res Publika"/, a powołanie Rady Konsultacyjnej - nieśmiałą i nieudaną próbą wykazania inicjatywy wobec niezależnych środowisk /głównie inteligenckich/. Posunięcia te ze względu na swoją ograniczoność stały się nie wykorzystaną szansą.

Istotą obecnej sytuacji politycznej w naszym kraju wydaje się być fakt, że zarówno nam - opozycji - jak i władzy bliższa wydaje się wciąż opcja taktyczna. Rzecz jasna, nie można się jej wyrzec, ale nie można też na niej poprzestać.

Jesteśmy czujni - dobrze. My wyciągnęliśmy rękę, teraz kolej na władzę - zgoda. Warto jednak pomyśleć co się stanie, gdy Jaruzelski jednak zadzwoni do Gdańska? I czy nie wypunktujemy wtedy Wałęsy?...

Kwiecień 1987

Adam Wanta

SPOŁECZNA AKCJA OBLICZANIA FREKWENCJI PODCZAS "WYBORÓW" DO SEJMU W PAŹDZIERNIKU 1985.

Podsumowanie.

W lipcu 1985 r. powstał w Białymstoku Społeczny Komitet Kontroli Wyborów do Sejmu. Grupa tworzących go ludzi powzięła zamiar, aby w Białymstoku i - gdzie się to uda - w województwie - społecznymi siłami obliczyć frekwencję podczas wyborów do Sejmu w październiku 85. Komitet postanowił wykorzystać zastosowaną w Warszawie w 1984 r. metodę liczenia osób głosujących "3x5". W samym Komitecie opinie o szansach wykonania takiego przedsięwzięcia w Białymstoku były podzielone. Obawa, czy ludzie zechcą zarzucić przynajmniej na ten jeden dzień swoje apatie i marazmy, nie była bezpodstawna. Komitet rozpoczął pracę licząc się z możliwością kompletnego niepowodzenia akcji.

Stało się inaczej. Przebieg i zasięg społecznego liczenia głosujących udowodniły, że chęci wsparte dobrą organizacją przynoszą efekty. Niemała grupa ludzi zaangażowała się w przedsięwzięcie, które można ocenić jako udane i sprawnie przeprowadzone.

Początek działalności Komitetu to akcja propagandowa. Jej celem było, aby ludziom ponownie uzmysłowić bezsens udziału w głosowaniu, nazywanym oficjalnie wyborami; aby nie ośmieszali się wybierając tych, którzy już dawno zostali wybrani przez "stosowne organa".

W mieście kolportowano wydane miejscowym staraniem znaczki z hasłem "Nie daj się wrobić w farsę wyborczą" o nominale 5 zł, wykonane w regionie ulotki o treści "Naszym wyborem: powszechny bojkot", "Wybory? Panom z KC czas powiedzieć NIE" itp. Rozprowadzano także ulotki "zamiejscowe",

prasę krajową - gremialnie wówczas piszącą na temat wyborów, a także "Gazetę Wyborową", w redagowaniu której Komitet miał swój drobny udział.

Jednak główne prace Komitetu wiązały się z przygotowaniami do policzenia frekwencji w dniu wyborów. W lipcu 85 opracowane zostały "Instrukcja dla uczestników akcji 3x5" i tekst "Dygresja o metodzie - czyli 3x5". Materiały te były rozpowszechniane aż do wyborów drogami kontaktów koleżeńskich, związkowych i rodzinnych, tworząc jednocześnie sieć potencjalnych uczestników akcji. Oto ich treść:

I N S T R U K C J A

DLA UCZESTNIKÓW AKCJI "3x5"

1. Akcja 3x5 ma na celu oszacowanie prawdziwej frekwencji wyborczej i powinna być przeprowadzona wzorem udanej akcji warszawskiej, w której uzyskano miarodajne liczby osób biorących udział w wyborach.

2. Aby akcja powiodła się niezbędny jest udział w niej maksymalnej liczby osób, jak również rzetelności uczestników.

3. Akcja 3x5 polega na przeprowadzeniu odpowiednio dużej ilości niezależnych, krótkich pomiarów frekwencji wyborczej w ciągu całego dnia na obszarze całego miasta i województwa.

4. Każdy pomiar polega na liczeniu w czasie 5 minut /nie dłużej ani nie krócej/ wszystkich osób wychodzących z dowolnie wybranego lokalu wyborczego.

5. Każdy uczestnik akcji 3x5 zobowiązuje się przeprowadzić co najmniej 3 pomiary, z których pierwszy będzie między godz. 6.00 a 11.00, drugi między 11.00 a 15.00, trzeci między 15.00 a 20.00, a ewentualne dodatkowe pomiary w do-

wolnym czasie. Aby uzyskać jak najbardziej prawdziwe dane należy dążyć do przeprowadzenia więcej niż 3 pomiarów.

6. Dokładny czas rozpoczęcia każdego 5-min. pomiaru oraz ich miejsca /lokale wyborcze/ pozostawiamy do indywidualnego uznania uczestnika /można również kilka pomiarów wykonać w tym samym lokalu wyborczym/.

7. Uczestnika akcji zobowiązuje się do całkowicie obiektywnego przeprowadzenia pomiarów. Trzeba pamiętać, że zaniżanie wyników przez dobieranie z kilku kolejnych pomiarów jedynie tych najlepszych jest zwykłym fałszerstwem. Nie naśladujmy tu czerwonych.

8. Wyniki wszystkich przeprowadzonych pomiarów podaje się w formie tabelki precyzując:
a/ czas rozpoczęcia liczenia
b/ liczbę osób wychodzących
c/ numer lokalu wyborczego
Przykład: Jeżeli widziałeś 2 osoby wychodzące z punktu wyborczego nr 102 w godz. 6.25-6.30, 29 osób wychodzących z punktu wyborczego nr 5 w godz. 13.07-13.12, zero osób wychodzących z punktu nr 68 w godz. 19.14-19.19 oraz "nadobowiązkowo" 9 osób wychodzących z punktu nr 70 w godz. 14.33-14.38, to przekazujesz tabelę ze wszystkimi wynikami:

czas rozp.	liczba os. wych.	Nr p-ktu wyb.
6.25	2	102
13.07	29	5
19.14	0	68
14.33	9	70

9. Tabelkę należy sporządzić czytelnie w dwóch identycznych egzemplarzach na kawałkach przebitki maszynowej lub innym cienkim papierze

wielkości 1/4 kartki papieru maszynowego. U góry jednej z tych obu kartek należy dopisać słowo "duplikat".

10. Oba egzemplarze należy przekazać niezwłocznie /tego samego dnia pomiędzy godz. 18.00 a 24.00 lub najpóźniej dnia następnego/ swojemu grupowemu tzn. człowiekowi, który zapoznał Cię z niniejszą instrukcją. Dlatego też należy ustalić z nim wcześniej dokładny termin i sposób przekazania. Zamiennie można dostarczyć wyniki nie bezpośrednio grupowemu lecz w inne wskazane przez niego miejsce.

11. Każdy uczestnik akcji winien popularyzować ją wśród swoich znajomych i rodziny starając się tym samym o nowych uczestników akcji. Wszystkie uzyskane w ten sposób nowe wyniki pomiarów powinien przekazać wraz ze swymi własnymi w ustalonym terminie.

12. Każdy grupowy akcji powinien dokładnie zapoznać z niniejszą instrukcją wszystkich swoich współpracowników /ewentualnie wręczyć im jej kopie/ oraz sprawdzić poprawność sporządzania przekazywanych im wyników. Następnie winien je posegregować spinając lub pakując oddzielnie oryginały, oddzielnie duplikaty zaznaczając na każdym pakiecie "oryginał" lub "duplikat" i podając ilość egzemplarzy w pakiecie. Oba pakiety należy niezwłocznie przekazać "do góry" w ustalony uprzednio sposób.

13. Instrukcja nie jest do publikacji. Należy ją powielać na maszynie lub ręcznie, a przekazując ją kolejnej osobie należy równocześnie ustalić z nią sposób uzyskania kartek z wynikami.

14. W okręgach wyborczych spoza Białegostoku należy podać oprócz nr okręgu - nazwę miejscowości.

15. Wszystkie dodatkowe informacje dotyczące wyborów uzyskane przez uczestników akcji 3x5, a ich zdaniem interesujące /dot. np. fałszerstw, obstawy lokalu, sposobu przeprowadzania akcji i inne/ należy dopisać pod tabelką lub na odwrocie kartki z wynikami.

UWAGA:
Uzyskanie wyników przy pomiarach 3x5 nie wymaga znajomości liczby osób uprawnionych do głosowania w poszczególnych komisjach. Adresy, numery i zasięg komisji wyborczych zostanie ogłoszony oficjalnie przed rozpoczęciem sprawdzania list uprawnionych do głosowania.

SPOŁECZNY KOMITET KONTROLI WYBORÓW DO SEJMU
Białystok, lipiec 1985

ZAŁĄCZNIK DO INSTRUKCJI DLA UCZESTNIKÓW AKCJI 3x5

1. Aby zmniejszyć błąd obliczeń przeprowadzonych na podstawie pomiarów uzyskanych w akcji 3x5 powołuje się pomiarową grupę kontrolną.

2. Do grupy kontrolnej należą wszystkie osoby, które zechcą i mogą być członkami komisji wyborczych a następnie przekazać dane o liczbie osób biorących udział w głosowaniu lub też osoby, które mogą zorganizować całodzienną obserwację lokalu wyborczego.

3. W danych uzyskanych bezpośrednio z komisji wyborczych należy podawać nie tylko frekwencję lecz również ilość osób uprawnionych do głosowania.

4. Obserwacja lokalu wyborczego przez uczestników grupy kontrolnej powinna być prowadzona bez przerwy przez cały dzień. Wymaga to uczestnictwa kilku osób zmieniających się.

5. Obserwacja całodzienna winna być przeprowadzo-

na bezpiecznie i w sposób nie rzucający się w oczy, a więc wyłącznie z okien mieszkań prywatnych lub innych pomieszczeń zamkniętych, tak położonych, by nie było możliwości pomyłki lub fałszerstwa pomiarów.

6. Wyniki pomiarów uzyskanych w grupie kontrolnej należy sporządzić w 2 egzemplarzach. Na obu należy napisać literę "K", a na jednym słowo "duplikat".

7. Przekazywanie wyników pomiarów grupy kontrolnej powinno nastąpić razem z pomiarami uzyskanymi metodą 3x5. Uczestnictwo w grupie kontrolnej oraz organizacja pomiaru kontrolnego są dowolne i zależą od samych uczestników.

8. Zorganizowanie we własnym domu zorganizowanego pomiaru kontrolnego nie wyklucza uczestnictwa w akcji 3x5.

DYGRESJE O METODZIE CZYLI - "3x5"

Wprawdzie przywykliśmy do "socjalistycznych" metod utrzymania władzy i nikogo już nie dziwi ani ulepszona ordynacja wyborcza ani wszechpotężna - zwłaszcza, że wzmocniona solidną bazą finansową - propaganda, ani różnego autoramentu nacisku na wyborców. Przeważa też - tak po jednej, jak i po drugiej stronie - uzasadnione skądinąd przekonanie, że "komuniści wybory wygrać muszą i wygrają". Co to oznacza wszyscy domyślamy się, jednak powraca co i rusz pytanie - czy wobec tego społeczeństwo jest całkowicie bezsilne?

Zdają się temu przeczyć udane akcje bojkotu wyborów oraz akcje kontroli ich przeprowadzenia. Nie otwierają one co prawda ludowi drogi na wyżyny władzy, ale pozwalają przynajmniej określić zasięg wpływów nomenklatury w naszym kraju jak też

poznać sposoby jakimi się ona posługuje, a to już sporo.

O bojkocie mówiono już wiele, natomiast dużo mniej znane są różnorodne sposoby kontroli wyborów i docierania do prawdy, a więc sposoby uzyskania danych o rzeczywistej liczbie głosujących, obliczania skali ewentualnych zafałszowań oraz poznawania metod fałszowania wyników lub manipulacji wynikami i wyborcami.

Spośród akcji tego typu na baczną uwagę zasługuje między innymi warszawskie "3x5", ze względu na prostotę metody i skuteczność uwarunkowaną jednak tym, że podjęte działania będą mieć dostatecznie masowy charakter.

Jak wszystko co nowe i niesprawdzone praktycznie projekt akcji "3x5" budził różne wątpliwości, których podstawowym źródłem była nieufność wobec statystycznych metod badania zjawisk społecznych. Nieufność ta jest zupełnie zrozumiała, gdy zdamy sobie sprawę z faktu, że "nie istnieją w Polsce żadne wiarygodne instytucje badające opinię społeczną i że statystyka kojarzy się niemal wszystkim z urzędowym kłamstwem i propagandową manipulacją a nie z rzetelną procedurą badawczą dającą rzeczywisty obraz społecznych postaw i poglądów".

Wysuwano też inne zastrzeżenia natury metodologicznej, jak to, że nie ma gwarancji iż uzyskany materiał będzie dostatecznie reprezentatywny, a wyniki - wiarygodne.

Z tych powodów, a także aby szybko otrzymać orientacyjny pomiar bojkotu w Warszawie przeprowadzono równolegle do akcji "3x5" badanie sondażowe, którego zaletą było wcześniejsze wylosowanie punktów wyborczych i terminów obserwacji, a wadą niewielka z konieczności liczba przeprowadzonych w ten sposób pomiarów. "Było ich tylko 718, podczas gdy w akcji "3x5" na terenie Warszawy zebrano ich 22 tysiące".

Zatem akcja "3x5" zakończyła się sukcesem.

"Wynik pomiaru sondażowego opublikowano 48 godz. po zamknięciu lokali. Szacował on liczbę głosujących w Warszawie na 711,4 tys. ± 16,5 tys. W akcji "3x5" analogiczny wynik wyniósł 744,8 tys. ± 5,8 tys.".

Różnica pomiędzy przytoczonymi wyżej wynikami mieści się w granicach dopuszczalnej normy, za jaką przyjmuje się w statystyce na ogół wielkość dwóch odchyleń standardowych. Różnica ta wynika z wielu przyczyn praktycznych i metodologicznych mających znaczenie drugorzędne, natomiast rozpatrując uzyskane wyniki należy przede wszystkim pamiętać, że mówią one o ilości ludzi, którzy wychodzili tego dnia z lokali wyborczych, bez rozróżniania, czy naprawdę brali oni udział w głosowaniu, czy też nie. Wprowadzona niewielka poprawka uwzględniała tylko tych, którzy bez wątpienia wielokrotnie opuszczali lokal wyborczy. "Dlatego wszystkie wyniki są z założenia nieco wyższe od rzeczywistej frekwencji wyborczej".

W ogólnych zarysach akcja "3x5" polega na tym, aby dostatecznie duża liczba osób policzyła przynajmniej trzy razy w ciągu dnia osoby wychodzące w ciągu 5 minut z dowolnie wybranych punktów wyborczych. Dokładne godziny rozpoczęcia pomiaru jak i decyzję o tym, który lokal, bądź które lokale się obserwuje zależą od wyboru osoby dokonującej pomiaru, jednak obowiązujące uczestnika akcji 3 pomiary muszą być wykonane: pierwszy - między godz. 6.00 a 11.00, drugi - między godz. 11.00 a 15.00 i trzeci - między 15.00 a 20.00. Czas kolejnych pomiarów /powyżej trzech/ jest całkowicie dowolny.

Jeden pomiar to jedne pięć minut liczenia i "jest oczywiste, że oprócz odpowiedniego rozkładu przestrzennego i czasowego zebranych pomiarów, duży wpływ na ostateczną wiarygodność wyników miała rzetelność poszczególnych obserwacji". Mimo pierwotnej obawy iż masowość akcji i emocjo-

nalne zaangażowanie jej uczestników mogą doprowadzić do nieświadomego nawet zaniżenia wyników pomiarów, kontrolne badania nie wykazały takiego zjawiska i duża rzetelność liczenia okazała się powszechna. Zdaje się ona wskazywać, że dominującą motywacją uczestników akcji była chęć dotarcia do prawdy i zdemaskowania wszechobecnego urzędowego kłamstwa.

"Wiarygodny obraz przebiegu wyborów - na tle znikomej wiedzy jaką wszyscy posiadamy o społeczeństwie - stanowi duże osiągnięcie, a zebrany materiał może posłużyć do innych, bardziej wnikliwych badań", np. nad poznaniem różnego typu zachowań społecznych.

Na sukces warszawskiego eksperymentu składa się nie tylko obliczenie frekwencji i absencji wyborczej w Warszawie /gdzie absencja wyniosła 544,2 $\pm$ 5,8 tys. osób, tzn. 42,2% $\pm$ 0,4% wszystkich uprawnionych/ i niektórych miejscowościach podwarszawskich oraz podanie jej do ogólnej wiadomości, ale także obliczenie frekwencji i absencji dla poszczególnych dzielnic stolicy a nawet dla poszczególnych lokali wyborczych.

Ponadto uzyskano szereg spontanicznie przekazywanych informacji dodatkowych o strukturze wieku uczestników, sposobach ochrony lokali wyborczych, trudnościach w uzyskiwaniu pomiarów, atmosferze towarzyszącej akcji itp.

Wszystko to zostało przynajmniej w części opublikowane i pozostaje jednak wyrazić zdumienie, że mimo wyraźnego sukcesu, prostoty akcji i jej wielu zalet, metoda "3x5" pozostaje wciąż jeszcze bardzo mało znana szerokim kręgom wyborców.

Wobec tego jeszcze na koniec kilka słów o zaletach akcji. Należą do nich między innymi: bezpieczeństwo liczących, którym oficjalnie nie sposób cokolwiek zarzucić i którzy zresztą na ogół pozostają przez nikogo nie zauważeni; fakt, że zbędna jest znajomość liczby osób uprawnionych

do głosowania w poszczególnych lokalach oraz dodatkowy efekt propagandowy.

Stanowi też akcja "3x5" rzadką okazję do zbiorowego współdziałania.

Ponadto może być stosowana nie tylko w wielkich metropoliach ponieważ wystarczy uzyskać średnio kilkanaście pomiarów na jeden lokal wyborczy aby otrzymać wiarygodny wynik.

Jeśli chodzi o wady, to chyba podstawową jest ta, iż akcja wymaga od społeczeństwa przełamania bariery nie tyle strachu co bierności. Wymaga też pewnej umiejętności zbiorowych działań, a więc masowości, sprawnego i rzetelnego wykonania pomiarów oraz szybkiego spływu wyników. Ale przecież bez pracy nie ma kołaczy.

BKX

- W tekście wykorzystano informacje pochodzące z publikacji "Warszawskie 3x5" - "Sprawozdanie z Akcji 3x5 w Województwie Stołecznym Warszawskim 1984" - Zespół 3x5 - Niezależna Oficyna Wydawnicza NOW-a

Przed wyborami w całej Polsce propagowano przeprowadzenie obliczenia frekwencji wyborczej metodą "4x5", zakładającą przeprowadzenie przynajmniej 4 pomiarów 5-cio minutowych przez każdego z uczestników akcji. Społeczny Komitet w Białymstoku zdecydował się jednak na pozostanie przy ilości 3 pomiarów, a to ze względu na szeroki już wówczas zasięg przygotowań wg przyjętej w lipcu koncepcji.

W dniu 13 października, do godz. 24.00 do głównego punktu obliczania przekazano z punktów zborczych informacje z wynikami ok. 1500 pomiarów. Dla miasta takiego, jak Białystok, gdzie ilość uprawnionych do głosowania wynosiła 175 tys. osób w 108 obwodach wyborczych - przyjęta metoda obliczania frekwencji zakładała wykorzystanie danych z co najmniej 1300 obserwacji.

Tak więc już pierwszego dnia uzyskano dane pozwalające poprawnie określić udział białostoczan w głosowaniu. Zebrane w tym dniu pomiary zostały natychmiast przekazane do miejsca, gdzie obliczano frekwencję wyborczą w całym kraju.

14 października napłynęły dalsze wyniki, dając łącznie 1956 pomiarów. Na ich podstawie przeprowadzono uproszczone obliczenie frekwencji, uzyskując wynik ok. 70%.

Wyniki akcji Komitet opublikował w "Komunikacie nr 1" z 15 października 85.

KOMUNIKAT NR 1

Społeczny Komitet Kontroli Wyborów w Białymstoku informuje, że dnia 14.10.1985 r. o godz. 22.00 zakończono zbieranie pomiarów kontrolnych frekwencji wyborczej.

Do tego czasu zebrano 1956 pomiarów akcji "3x5" /1 pomiar przeprowadzano przez 5 minut/, co daje średnio 18,11 pomiaru na 1 punkt wyborczy /przy 108 obwodach otwartych w mieście Białymstoku/. Jest to ilość umożliwiająca wykonanie dokładnego obliczenia frekwencji wyborczej na terenie miasta wg programu komputerowego, a także umożliwiająca obliczenie frekwencji wyborczej w poszczególnych obwodach i okresach czasu.

Ponadto uzyskano dane z pomiarów kontrolnych /całodziennych/ z 10 lokali wyborczych oraz pomiary ciągłe /trwające po kilka godzin/ z 6 innych punktów.

Z wyjątkiem Zabłudowa /gdzie głosowało 86% uprawnionych/ nie zebrano wystarczającej ilości z terenu poszczególnych gmin województwa.

Komitet informuje, że opracowanie uzyskanych wyników potrwa kilka dni, po czym zostaną one ogłoszone w kolejnym komunikacie. Spodziewany jest napływ w ciągu dwóch dni dalszych danych z pomiarów całodziennych oraz tych wyników akcji

"3x5", których z różnych przyczyn nie zebrano do czasu zamknięcia punktów zbiorczych. Po uzyskaniu tych materiałów zostaną wykonane obliczenia metodą uproszczoną.

Z wstępnych obliczeń dokonanych po zamknięciu punktów zborczych wynika, że frekwencja wyborcza na terenie miasta Białegostoku oscylowała wokół 70%. W poszczególnych obwodach wynosiła ona od ok. 65% do 78,5%, przy czym ilość oddanych głosów ważnych jest niższa od obliczonej frekwencji. W żadnym z obwodów Białegostoku, których wyniki znamy, frekwencja nie przekroczyła 80%.

Komitet składa podziękowanie wszystkim, których praca przyczyniła się do sukcesu akcji kontrolnej, a zwłaszcza tym wszystkim, którzy z poświęceniem dokonywali pomiarów całodziennych, tym którzy prowadzili punkty zbiorcze i tym których trud umożliwił zebranie wystarczającej ilości danych pomiarowych.

Społeczny Komitet Kontroli Wyborów
do Sejmu

Białystok 15.10.1985 r.

Do 20 października napłynęły dalsze wiadomości o wynikach obserwacji lokali wyborczych. Łącznie dotarło ich 2585. Wszystkie pomiary poddano szczegółowym obliczeniom, a ich wynik określał, że w Białymstoku wzięło udział w wyborach 126.741 osób, to jest 72,32% /± 1,14%/ uprawnionych do głosowania. Rachunek ten nie uwzględniał oczywiście liczby ważnych spośród oddanych głosów. "Komunikat nr 2" z 20 października 85 przedstawiał wyniki obliczeń.

KOMUNIKAT NR 2

Społeczny Komitet Kontroli Wyborów do Sejmu w Białymstoku informuje, że dokonano obliczeń frekwencji wyborczej na terenie miasta metodą

uproszczoną. Według pomiarów uzyskanych w akcji "3x5" wynosi ona dla 108 obwodów otwartych

126 741 osób ± 1993

tj. ok. 72,32% ± 1,14%

Do obliczeń wykorzystano 2585 uzyskanych pomiarów pięciominutowych, co daje 23,94 pomiaru na jeden punkt wyborczy. Wynik uwzględnia poprawkę na ruch jałowy członków Komisji Wyborczych, ich rodzin lub ochrony oraz osób towarzyszących wyborcom, a nie głosujących w danym lokalu /w tym wyrośniętej młodzieży poniżej 18 lat/.

Dla porównania podajemy wyniki uzyskane do tej pory z pomiarów kontrolnych /całodziennych/. Pomiary takie posiadamy dla 16 obwodów /ok. 14,4% uprawnionych do głosowania/. Średnia frekwencja uzyskana na podstawie tych pomiarów wynosi 71,2% /17 950 osób/. Analogicznie dla miasta byłoby to ok. 124 653 osoby.

Według posiadanych obecnie informacji procent głosów ważnych kształtował się bardzo różnie w poszczególnych komisjach - było to od 53% do 77,9% liczby uprawnionych. Procent frekwencji wynosił od 63,9% do 77,9%.

Spodziewane jest uzyskanie dalszych pomiarów całodziennych, które uwzględnione zostaną w komunikacie końcowym. Kolejny komunikat zostanie ogłoszony po uzyskaniu wyników obliczeń komputerowych.

Społeczny Komitet Kontroli Wyborów
do Sejmu

Białystok 1985.10.20

Oba komunikaty rozpowszechniano jako druki ulotne, zamieścił je także Biuletyn Informacyjny "Solidarności" Regionu Białystok.

Oczekiwane wyniki przeliczenia frekwencji wyborczej w "Krajowym centrum" nie nadeszły. Z nieokreślonych dokładnie przyczyn danych z Białegostoku nie poddano obliczeniom komputerowym i nie

zostały one uwzględnione w ustaleniu krajowych wyników. Nie uzyskano tym samym wielu dodatkowych informacji przewidzianych programem przetwarzania danych.

W tej sytuacji Społeczny Komitet Kontroli Wyborów do Sejmu w Białymstoku musiał za ostateczne wyniki uznać podane w Komunikacie nr 2, a akcję za zamkniętą, swoją działalność za zakończoną. Informuje o tym

KOMUNIKAT NR 3

Społeczny Komitet Kontroli Wyborów do Sejmu w Białymstoku informuje, że uzyskanie dodatkowych obliczeń komputerowych dotyczących frekwencji wyborczej w poszczególnych obwodach, dzielnicach porach dnia okazałc się niemożliwe.

Wyniki podane w Komunikacie nr 2 dotyczące liczby głosujących na terenie całego miasta należy uważać za całkowicie miarodajne i obrazujące faktyczną frekwencję wyborców. Duża ilość uzyskanych pomiarów pięciominutowych umożliwiła bowiem dokonanie obliczeń stosunkowo dokładnych. Wniesiona poprawka na ruch jałowy, w świetle dodatkowych informacji dostarczonych przez obserwatorów wydaje się być zbyt mała, toteż należy przypuszczać, że rzeczywista frekwencja była w Białymstoku nieco niższa od podanej przez nas - 72,32% ± 1,14%. Zwracamy też uwagę, że wielkość ta dotyczy liczby głosujących a nie - znacznie niższej - liczby głosów ważnych.

Zamykając akcję, którą uznać należy za sprawnie przeprowadzoną i bardzo udaną Komitet dziękuje wszystkim uczestnikom oraz życzy im i sobie równie udanych przedsięwzięć w przyszłości.

Jednocześnie informujemy o rozwiązaniu się Komitetu.

Białystok 30 X 1985 r.

Kilka uwag i spostrzeżeń z akcji "3x5"

1. Wiarygodność wyniku

Istniała obawa, że emocje liczących mogą wpływać na zaniżanie podawanych przez nich wyników liczenia osób wychodzących z lokali wyborczych. Jednakże w czasie trwania wyborów przeprowadzano kontrolne pomiary pięciominutowe, które potwierdziły rzetelność informacji otrzymanych od uczestników akcji "3x5". Za prawdziwością społecznych obliczeń przemawia także porównanie frekwencji z 16 okręgów, w których przeprowadzano obserwację ciągłą - 71,2%, z wynikiem obliczonym dla całego miasta wg pomiarów pięciominutowych - 72,32%.

2. Pory głosowania

W otwartych o 6.00 lokalach wyborczych nie było ścisku. Większy ruch rozpoczął się ok. godz. 9.00. Największą ilość głosujących odnotowano w godzinach 11-13, kiedy to na ogół ludzie wychodzą z kościołów /czyżby zasada świeczki i ogarka?/. Po 17.00 znacznie zmalała ilość ludzi w obserwowanych punktach.
Rano głosowali starsi ludzie, młodzi przeważnie po południu.

3. Wiadomości z lokali wyborczych i od obserwatorów

- w obwodzie, gdzie frekwencja wyniosła 80%, było 15% głosów nieważnych,
- jedna z komisji sfałszowała wyniki podając ilość 1300 osób, zamiast prawdziwej liczby 955 głosujących,
- duża ilość skreśleń na listach okręgowych /nawet do 60%/, przewyższająca skreślenia w listach krajowych,
- w jednym z lokali osoby postronne: 2 mężów zaufania /?/, 2 milicjantów /cywil i umun-

durowany/. Cywil w czasie głosowania i po nim przeglądał spis wyborców interesując się konkretnymi nazwiskami. Umundurowany przebywał w budynku w nocy przed i po wyborach, a w samym lokalu podczas liczenia głosów. Obaj starali się zachowywać dyskretnie.

- w innym lokalu głosujących liczyły harcerki zaangażowane na ten dzień do obsługi Komisji Wyborczej,
- do budynku z lokalem wyborczym wchodzili i wychodzili z niego hydraulicy, usuwający awarię hydroforu /mogli być liczeni razem z głosującymi/,
- o 7.55 do lokalu wchodzi milicjant w mundurze, opuszcza go o 20.00 w towarzystwie dwu osób,
- przed lokalami wyborczymi brak widocznej obstawy.

Poza Białymstokiem akcji liczenia głosujących nie przeprowadzono. Jedynie z kilku miejscowości w województwie uzyskano orientacyjne dane - wahania frekwencji od 50% do 88,6%.

Na marginesie

Kiedy na jubileusz 45-lecia PRL /daj Boże - 50-lecia nie będzie/ dociekliwy dziennikarz przeprowadzający sondę uliczną spyta mnie, co uważam za największe osiągnięcie tego okresu, odpowiem bez namysłu - egalitaryzm. , egalitaryzm - "pogląd społeczno-polityczny uznający za podstawę ustroju społecznego zasadę równouprawnienia obywateli pod względem ekonomicznym, społecznym i politycznym".
Słownik podaje też hasło: egalitaryzacja - "zrównywanie, ujednolicanie".
Komuniści głosząc totalne zrównanie dość skutecz-

nie ukręcili bat na własną głowę.
Nie przypadkiem w Sierpniu 80 na murach stoczni widniały napisy "Socjalizm - tak, wypaczenia - nie". Nie przypadkiem też olbrzymia część posierpniowej aktywności społecznej została zużyta na rozliczanie prominentów z "daczy" i innego bogactwa.

Tyle tylko, że ten bat ma dwa końce. Głoszona i zadekretowana powszechna równość doprowadziła do wytworzenia się fałszywej świadomości. Dobrze istotę tej mistyfikacji odda może historyczna już i w inych okolicznościach powstała, ale trafiająca w sedno anegdota z Wańkowiczowskiego "Tworzywa". Na zjeździe legionistów w 1926 roku spotykają się dawni towarzysze broni, sierżant rezerwista, aktualnie bez widoków na przyszłość i generał, jednocześnie prezes wielkiej instytucji państwowej. "A co, obywatelu - klepał go po ramieniu jeden z wyższych oficerów legionowych, pod którego komendą walczył w jednej z najkrwawszych legionowych bitew - dźwigaliśmy tę Polskę, co? Dźwigaliśmy razem...
- Tak jest obywatelu generale - odpalił - tylko, że obywatel generał dźwigając tę Polskę, schwytał ją za cycki, to ma mleko, a ja chwyciłem ją za d..., to mam g..."
Tego rodzaju fizjologiczne wyobrażenia o tym jak powinna prawdziwa równość wyglądać, są moim zdaniem dzisiaj bardzo powszechne /wszyscy mamy jednakowe żołądki, żeby na tych organach poprzestać/. Na razie jest to problem komunistów, ale ktokolwiek będzie chciał kiedyś przywrócić w tym kraju normalne stosunki ekonomiczne, będzie miał nie lada robotę do wykonania.
Zwłaszcza w sytuacji, kiedy przedstawiciel przodującej klasy robotniczej, zarabia dziasiaj 2-3 razy więcej niż nauczyciel, lekarz czy inżynier. W roku 80 furorę zrobił cytat z Lenina /przytaczam z pamięci/: "Państwo polioyjne to takie państwo, w którym policjant zarabia więcej od nauczyciela". Dzisiaj w PRL już chyba wszyscy zarabiają więcej od nauczyciela. W jakim więc państwie żyjemy?

MER

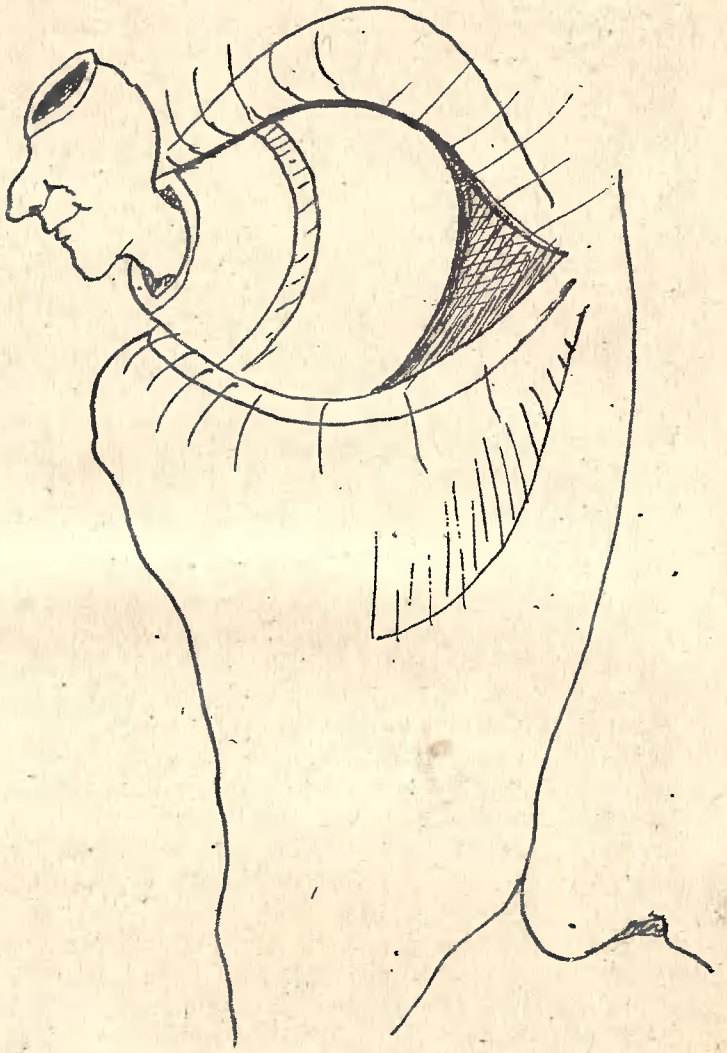

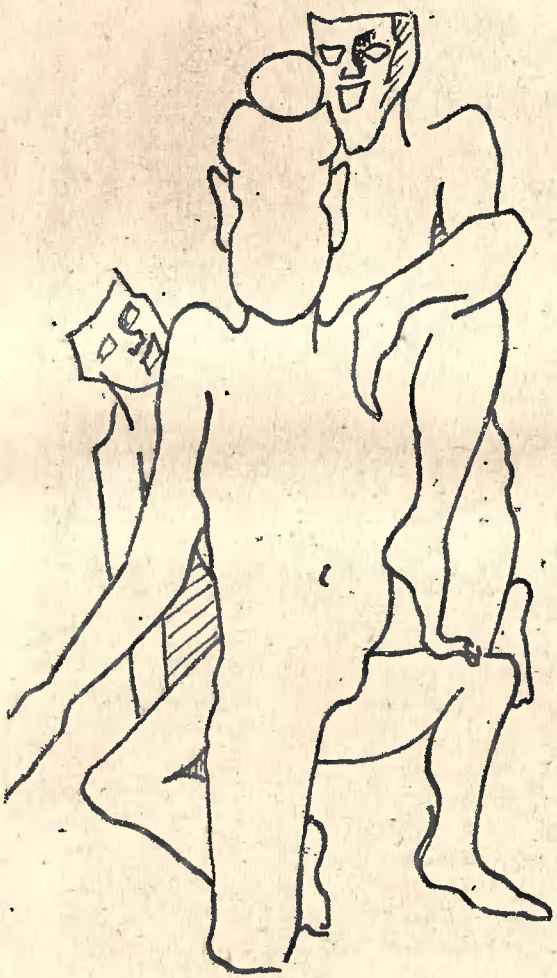

Mały poradnik amerykański /2/

Język. Żenujące bo żenujące ale języków obcych nie znamy i z tego w świecie jakoś tam słyniemy. Ktoś kto posługuje się biegle w mowie i piśmie jednym, a tym bardziej dwoma zachodnimi językami urasta u nas w powszechnym odczuciu do rangi intelektualisty. Byle wypad na Zachód szybko jednak nas przekonuje, że angielski uproszczony /basic English/ jest prawdziwym esperanto współczesnego świata. My, a raczej nasze szkolnictwo dalej po swojemu. I potem wstyd, i to bardzo szybko, bo już w czasie podróży.

Mała scenka rodzajowa z cyklu nasi zagranicą: lecimy do Nowego Jorku i mamy przesiadkę w Zurichu. Dominuje wieś podhalańska, rzeszowska i białostocka jak zwykle. Przesiadka jest prosta. Przezornie przysłana stewardessa LOT-u ustawia nas w karną kolejkę do okienka po odbiór numerków na miejsca w nowym samolocie, tym razem już nie polskim. Jedyne pytanie brzmi: chcesz miejsce dla palących czy dla niepalących? I oczywiście wytrzeszcz oczu, rozdziawiona gęba i... nic. Wtedy panienka z okienka zbliża palec do ust i symbolicznie zaciąga się. Tak, tak, kiwa głową pierwszy z naszych. Scenka powtarza się jeszcze kilkakrotnie. Potem urzędniczka rezygnuje z prób dogadania się i posługuje się wyłącznie opisanym wyżej gestem. Wśród naszych odprężenie i ogólna radość. A więc można się jakoś "dogadać" w tym obcym świecie. Ktoś rzuca uwagę, że mogliby i Szwajcarzy nauczyć się paru słów po polsku.

Norma jest taka, że angielski Polakowi jest całkowicie obcy. Tylko z rzadka trafi się ktoś, kto otarł się oń w szkole. A przecież już tam na miejscu możliwości nauki są ogromne. Codzienny kontakt z językiem, telewizja, radio, tego nie da się przecenić. Poza tym są bezpłatne wieczorowe szkoły języka. Przeznaczone dla imigrantów mają

długą tradycję w Stanach. Wystarczy pójść i zapisać się. Żadnych dokumentów nikt nie sprawdza. Poziom z reguły niski, ale w poznaniu podstaw języka, w osiągnięciu komunikowania się w najbardziej niezbędnych sprawach pomóc mogą.

Wielu bierze się ostro do nauki i gdzieś po roku całkiem nieźle sobie radzą. Większość jednak nie zdobywa się na to. Często mówią, że skoro mają wracać, to przecież nie warto. Argument, że znajomość języka pomogłaby im w znalezieniu lepszej pracy jakoś tam dociera. Argument, że bez języka nic z tej Ameryki nie zrozumieją nie trafia do przekonania. Przecież są tutaj, widzą, a zresztą po co im to. Zrobić szmal i do domu. Aby odłożyć swoje, a wtedy będzie pańskie życie i peweksy w Polsce. Tam swojsko, tutaj oboo, wrogo.

Polonia. O Polonii amerykańskiej krążą w kraju mity. Że wielomilionowa, potężna, że w samym Chicago więcej Polaków niż w Warszawie. Coś z prawdy oczywiście w tym jest, ale po kolei.

Emigrację polską za ocean można z grubsza podzielić na cztery grupy. Pierwsza najdłuższa i najliczniejsza to klasyczna emigracja za chlebem napływająca falami od połowy XIX wieku aż do wybuchu II wojny światowej. W trudzie i znoju dobijała się lepszego losu i pozostawiła raczej dobrą opinię o Polakach jako o narodzie może nie najbardziej inteligentnym i rzutkim /to się w Stanach ceniło i ceni/, ale za to pracowitym, bogobojnym /to się też ceni, bo życie religijne mozaiki kościołów i sekt ma realny wpływ na Amerykę do dzisiaj/. Ta najstarsza emigracja oczywiście wymarła, ale pozostawiła po sobie miliony Amerykanów polskiego pochodzenia. Ich poczucia polskości nie należy w żanym wypadku przeceniać. Część, choć na pewno nie wszyscy mają świadomość polskiego pochodzenia, noszą polskie nazwiska, lecz też często poupraszczane i z reguły inaczej wymawiane.

Druga grupa, mniej liczna, ale bardzo istotna z uwagi na przyczyny tułaczki i znaczny potencjał intelektualny to tzw. emigracja wojenna. A więc żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, więźniowie obozów koncentracyjnych, wywiezieni na roboty itd. Część, sądzić należy, pozostała na Zachodzie z motywów ekonomicznych, ale większość z politycznych: nie chcieli wracać do komunistycznego PRL-u pod sowiecką dominacją.

Grupa trzecia to emigracja peerelowska. Po cichu bo po cichu i wąskim strumyczkiem, ale przecież trwała przez cały powojenny okres za wyjątkiem lat stalinowskich. W większości emigracja z wiejskich rejonów Polski. Bardzo polska, bardzo religijna i skupiona wokół polskich parafii i słabo wtopiona w społeczeństwo amerykańskie. Ludzie ciężkiej, czarnej pracy. Grupa żywo przypominająca XIX-wieczną emigrację chłopską.

I wreszcie grupa czwarta, najświeższa, którą możnaby określić umownie jako postsolidarnościową. Jeszcze stosunkowo nieliczna, ale rosnąca, bo mająca zaplecze w rzeszy uciekinierów rozpaczliwie próbujących się wydostać z obozów przejściowych w krajach Europy Zachodniej. Grupa przyjmowana nieufnie przez "polskich Amerykanów", wprowadzająca ferment w zapleśniały mocno światek polski. Często krytykowana za cwaniackość, posługująca się etykietą "Solidarności" niczym biletem do "wolnego świata" i jego bogactw.

A więc jedna Polonia, a jednocześnie różne Polonie. O zorganizowaniu Polonii trudno raczej mówić. Cała mozaika organizacji i organizacyjek. Od Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej, Związku Podhalan, kółek różańcowych i chórów Związku Narodowego Polskiego, ZHP, itd, itp., aż po mnożące się jak grzyby po deszczu "Solidarności". "Solidarność z Solidarnością" i krzykliwy "Pomost". Ktoś mógłby powiedzieć, że dobrze, że skoro tyle organizacji, to znaczy, że życie polskie

w USA kwitnie. Nic bardziej złudnego. Na codzień działalności raczej niewiele, za to kwitną układy i hierarchie. Nasza polska skłonność do tytułomanii bije tam wszelkie rekordy. Iluż tam prezesów, prezydentów, komendantów, przewodniczących, skrabników, kontrolerów, zwykłych, honorowych, uff, zliczyć nikt nie zdoła. I oczywiście małe wojenki podjazdowe, wzajemne podgryzanie się, pucze i przewroty.

Nad całością niczym czapka, bo obowiązuje zasada federacji, stoi Kongres Polonii Amerykańskiej z mecenesem Alojzym Mazewskim na czele. KPA wielkich wpływów nie ma. Owszem, w najostrzejszych momentach kryzysu polskiego mecenas Mazewski bywał przyjmowany przez jakichś tam podsekretarzy. A w końcu nawet sam prezydent uścisnął mu dłoń, a nawet więcej, udał się do Dollestown - amerykańskiej Częstochowy. Zachwytom nie było końca. Rzecz oczywiście działa się tuż przed wyborami prezydenckimi. Efekt był taki, że nikt legitymujący się polskim pochodzeniem żadnego, nawet niskiego stanowiska w rządzie nie objął. Dla porównania: kilkusettysięcznej zaledwie grupie litewskiej udało się odpowiednią presję wywrzeć i swojego wsadzili. O Żydach, pozwolicie państwo, nie będę wspominał.

W roku 1980 Polska, a raczej tzw. problem polski, weszła na pierwsze strony gazet i jednoocześnie pojawiła się jako drobny bo drobny, ale dostrzegalny element w globalnej polityce amerykańskiej. Czasy te należy już chyba uznać za minione. Mass media zachodnie żywią się news-em, a przeciągający się polski pat od czasu wygaśnięcia demonstracji ulicznych niczym takim nie jest. Publika żąda mocnych wrażeń, życie idzie naprzód. Filipiny tak, bo tam rewolucja, Nikaragua bo strzelają, Południowa Afryka owszem, bo policja znowu zabiła iluś tam demonstrantów, Gorbaczow - czemu nie, przyznacie Państwo: gwiazda

sezonu. Itd., itp. Brutalne, ale prawdziwe: rynek ma swoje prawa. Nie, nie, jeszcze nie całkiem wypadliśmy z obiegu, ale już o nas krótko, na tańszych stronach. Niewątpliwie okres "Solidarności" spowodował, że przypomnieliśmy się światu i jakoś sprawa polska zaistniała w polityce międzynarodowej. Oczywiście nie przeceniałbym tego w politycznych rachubach na dziś i jutro, ale kiedyś jakiś drobny profit przyniesó to może. Ot, chociażby fakt, że tzw. przeciętny Amerykanin już wie, gdzie nas mniej więcej umiejscowić na mapie. A poprzednio nie bardzo wiedział.

I w tym miejscu nasuwa się pytanie, do jakiego stopnia jest to zasługą Polonii amerykańskiej. Niewątpliwie należy przyznać jej to, że w najbardziej krytycznych momentach potrafiła się zmobilizować. Tony ryżu, mąki, żółtego sera, używanej odzieży czy tak potrzebnych lekarstw były wyrazem ofiarności społeczeństw zachodnich w ogóle, ale rolę wiodącą w akcji tej odegrała Polonia i tworzone przez nią spontanicznie komitety pomocy.

Natomiast w wymiarze politycznym byłoby błędem przecenianie roli Polonii. Rzecz jasna kryzys polski spowodował jej ożywienie się, ale bez przesady. Większą rolę odegrali raczej nasi nieliczni wybitni niż wielkie, jak wynikałoby z deklaracji, organizacje. Spójrzmy na rzecz realnie: Zbigniewa Brzezińskiego słucha się z uwagą, o Mazewskim prawie nikt nie słyszał. Dlaczego? - ano dlatego, że Brzeziński jest w Stanach kimś i sam do tego doszedł /nie, nie wylansowało go polskie lobby, bo go praktycznie nie ma/. Nowak-Jeziorański został konsultantem Departamentu Stanu do spraw kryzysu polskiego nie dlatego, że wysunął go KPA, ale dlatego, że przez długie lata dyrektorowania w RWE dał się poznać Amerykanom jako realista i fachowiec i ma własne "chody" w Waszyngtonie.

Czas na anegdotę z życia wziętą. Kiedy 4 lipca

1986 r. odbywała się w Nowym Jorku ogromna feta z okazji stulecia Statui Wolności /ponoć największa impreza w dziejach USA/, jednym z ważniejszych punktów programu było wręczenie honorowych nagród imigrantom - wybitnym naturalizowanym Amerykańom. Najliczniej byli reprezentowani Żydzi, było dwóch Chińczyków, przedstawiciel Jamajki, Kostarykańczyk nawet, Polaka zabrakło. W prasie polonijnej zerwała się burza. Że układy, że przecież tyle milionów Polonusów tak ciężko harowało budując Amerykę, że nie może tak być, że tylko Żydzi i Żydzi, a nam to figa z makiem. Aż w końcu znalazł się ktoś rozsądny i spytał: No, dobrze, a kogo byśmy wysunęli? Kissingera nie mamy, Izaak Perlman też się nam nie trafił.

Istnieje od lat w Nowym Jorku Polski Instytut Naukowy. Instytucja wielce zasłużona dla kultury polskiej, grono wspaniałych profesorów, wielkie zasługi dla dokumentowania i opracowywania naszej historii, literatury, szeroko rozumianej kultury. Słowem prawdziwa świątynia wolnej nauki polskiej na obczyźnie. Oczywiście potężnym Instytut nie był, bo pieniążków zawsze brakowało, ale jakoś egzystował. Aż nagle znalazł się PIN w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Fundacja im. Alfreda Jurzykowskiego nagle odebrała ofiarowaną przed laty kamienicę i Instytut znalazł się dosłownie na bruku. Zbiory i archiwalia poupychano gdzieś po strychach i rozpoczął się płacz i lament. O jakie pieniądze poszło? - żeby kupić jakąś przyzwoitą kamienicę na Manhattanie potrzebny był najwyżej milion dolarów. Rozpoczęła się zbiórka publiczna, uroczyste przyjęcia połączone ze składaniem datków itd. Sprawa, o ile wiem, ciągnie się do dzisiaj.

Dla porównania historia innej budowli. Przed laty zawędrował za ocean zakonnik - paulin. I z miejsca rozpoczął akcję budowy ośrodka maryjnego, amerykańskiej Częstochowy, jak to nazwano,

w Dollestown w Pensylwanii. I wybudowano wspaniały kompleks budowli, a obok jeszcze polski cmentarz na dodatek. Ile to kosztowało nie wiem, kosztorysów nie sprawdzałem, ale na pewno grube, grube miliony.

Nie, nie, proszę nie krzyczeć! Nie obrażam niczyich uczuć religijnych. Po prostu zestawiam dwa fakty, by lepiej ukazać Polonię amerykańską, jej mentalność i hierarchię potrzeb.

"Polscy Amerykanie" Polish Americans, bo z dosłownego tłumaczenia z angielskiego ten dziwoląg językowy, żyją w Stanach obok irlandzkich, włoskich, chińskich, latynoskich i jakich tylko dusza zapragnie Amerykanów. Zaliczyć można do tej grupy tych, którzy przybyli tu znad Wisły, pierwsze urodzone, wychowane w Stanach pokolenie, z rzadka, trzecie. Generacje o odleglejszym polskim rodowodzie śmiało możemy zaliczyć już do stuprocentowych Amerykanów.

Materia świadomości narodowej i jej przemian należy do bardzo delikatnych. Dla uproszczenia posłużmy się więc kryterium języka, jako najbardziej klarownym. Pierwsze pokolenie imigrantów przybywa jako ludzie dorośli, wychowani i ukształtowani w innych warunkach. Najliczniejsi byli i są wieśniacy bez wykształcenia, bez przydatnego w nowych warunkach, atrakcyjnego zawodu. Zatrudniają się więc do najcięższych i słabo płatnych zajęć. Te braki nadrabiają nadludzką pracowitością i oszczędnością. W nowym otoczeniu starają się kontynuować dawne formy życia, obyczaje, tradycje rodzinne itd. Najczęściej angielskiego do końca swoich dni nie poznają. Ich angielszczyzna ogranicza się do prostych zwyczajowych zwrotów, umiejętności liczenia, nazw narzędzi potrzebnych w pracy itd. Starają się mieszkać razem, razem w miarę możliwości pracować, w pobliżu mają polski kościół, sklep, czasem klub.

Drugie pokolenie wychowuje się już w amerykańskich warunkach. Szkoła i rówieśnicy powodują, że

ich angielski jest już nienaganny. Ich polszczyzna pozostawia jednak wiele do życzenia. Mówią z wyraźnym akcentem, często kaleczą gramatykę i używają wielu wtrąceń angielskich. Żenią się, wychodzą za mąż za polonijnych kandydatów. Wnuki często już po pólsku nie mówią. Póki żyje babcia, sporo rozumieją. Potem zostaje już tylko: "Je polszky, jak sze macze?"

Oczywiście przedstawiony wyżej obraz jest pewną generalizacją. Wyjątki zdarzają się, sam je widywałem. I uwaga druga. Przedstawiony mechanizm tracenia języka, a więc na pewno i świadomości narodowej jest być może dla nas szokujący, ale przecież dotyczy wszystkich nacji /ethnic groups/ w USA. Może trochę twardsi są Ukraińcy, nieźle trzyma się nieliczna grupa litewska, ale i oni ulegają. Odrębny casus to Żydzi, ale na ich korzyść pracuje fakt pozostawania od 2 tys. lat w diasporze i fakt, że język nie łączy się tutaj z poczuciem narodowym.

"Polscy Amerykanie" stanowią interesującą grupę. Trudno ich uznać za Jankesów, a jednocześnie i ich polskość blednie, albo przybiera specyficzne dla odizolowanej grupy formy. Niech świadczy o tym gwara jaką się posługują. Nie jeżdżą więc samochodem tylko "drajwują karą", ulicy nie zamiatają tylko ją "klinują", nie cieknie im rura pod podłogą tylko "pajpa likuje pod florem". Itd., itp. Przykłady można mnożyć bez końca.

W większych swoich skupiskach "Polscy Amerykanie" tworzą polskie kluby, domy polskie itp. Z reguły są to knajpy - bary i znajdujące się obok sale wynajmowane na wesela, chrzciny i inne uroczystości. Czasem z okazji 3 Maja śpiewa tam polski chór parafialny. A w karnawale odbywają się huczne zabawy taneczne. Króluje oczywiście polka uznawana w Stanach za narodowy taniec polski. A więc dobra rada dla wszystkich potencjalnych "wąkacjuszy". Uczcie się starej, dobrej czeskiej polki, jeśli.

chcecie się okazać prawdziwymi Polakami.

Zasiedziali w Ameryce Polonusi wytworzyli specyficzną świadomość grupową. Jeszcze nie wtopili się w nowe społeczeństwo, w którym przyszło im żyć, często nie znają języka, a już nieufnie odnoszą się do każdego, kto przybył z PRL-u. Wyraźnie widać nieufność do tzw. wakacjuszy, a więc tych, którzy przyjechali do Stanów na zarobek. Bierze się to z pewnością stąd, że nasi gastarbeiterzy często psują Polonusom opinię. Natomiast kiedy nowo przybyły deklaruje chęć pozostania na stałe staje się jednym z nich i czasami może nawet liczyć na ich pomoc.

Prasa polska. W Stanach Zjednoczonych ukazuje się kilkanaście tytułów polskojęzycznej prasy. Główne ośrodki to oczywiście Chicago i Nowy Jork. Nakłady niskie, ceny raczej wysokie. Poziom z reguły słaby, czasem wręcz żenujący. Całkiem niezły jest nowojorski "Nowy Dziennik", a zwłaszcza dodatek tygodniowy "Przegląd Polski". Sprawy amerykańskie i międzynarodowe raczej w oparciu o prasę anglojęzyczną, ale za to sporo o Polsce, często przedruki z krajowego obiegu niezależnego. Niestety także spory i waśnie, czyli odbicie "polskiego piekiełka". Znaczną część polskich gazet zajmują ogłoszenia. Pisma robią bokami i z trudem utrzymują się przy życiu. Wśród ogłoszeń również te o zatrudnieniu - a więc przydatne dla gastarbeitera. Niektóre z ogłoszeń zabawne: "Zapraszamy na występy najlepszego polskiego zespołu instrumentalno-wokalnego 'Tercet Egzotyczny'", albo matrymonialne: "Świeżo przybyły z kraju, ateista, nie komunista pozna panią..."

Aha, są jeszcze lokalne programy radiowe, ale o nich można powiedzieć krótko, że jest to zawsze 25 minut reklam polskiej szynki, kaszanki, trumien, "Baterego" itd. i pięć minut wiadomości na okrasę, czasem jakaś polka. Ot i cała audycja.

Emigracja najświeższa, tzw. solidarnościowa. Jest i powiększa się, choć o wielkich liczbach trudno tu mówić. O większości tych ludzi śmiało możemy powiedzieć, że popełniają nieuczciwość nadając sobie miano "solidarnościowej". Gros z nich to tzw. "uciekinierzy", a więc z reguły młodzi ludzie, którzy wyjechali na wycieczkę do któregoś z krajów zachodnich i postanowili nie wracać. Plus zarobkowicze, których stan wojenny zastał w USA i dało im to pretekst do ubiegania się o zezwolenie na pobyt stały. "Uciekinierzy" to w ogromnej większości ludzie młodzi, często bardzo młodzi. Ich postaw politycznych oceniać nie będę, z góry wierzę, że "byli za 'Solidarnością'". Szkopuł jedynie w tym, że stwierdzeniem tym posłużyć się może ładnych parę milionów Polaków.

Wśród "uciekinierów" często można zauważyć rozczarowanie Zachodem. Wielu z nich wydawało się, że "uciekając" rozwiązują wszystkie swoje problemy. Rzeczywistość okazała się trochę inna. Teraz dopiero trzeba było wziąć się z życiem za bary. Pierwsza smutna konstatacja była taka, że wcale nie są z utęsknieniem wyczekiwanymi przybyszami. Raczej złem koniecznym. Kraje Europy Zachodniej przyjęły tylko niewielką ich ilość. Reszta trafiła /i trafia/ do tzw. obozów przejściowych, by czekać aż jakiś kraj zdecyduje się ich przyjąć. Niektóre kraje, jak np. Kanada i Australia nie wymagają udowadniania "solidarnościowości" i z pobudek czysto humanitarnych przyjmują ograniczone ilości obozowiczów. Stany Zjednoczone, mimo że oficjalnie deklarują swoje otwarcie /prezydent Reagan przy okazji wspomnianych już uroczystości z okazji 100-lecia Statui Wolności mówił, że "złote wrota Ameryki nadal pozostają otwarte dla przybyszów z całego świata"/ czynią znaczne utrudnienia. Różne są drogi legalnego dostania się do ojczyzny Waszyngtona /więzy rodzinne, sponsorowanie/, ale niemal zawsze trzeba udowadniać

polityczne podłoże ucieczki z PRL.

I znowu historia z życia wzięta. Był sobie młody człowiek, który chciał żyć lepiej. Tutaj ani mu się wiodło, ani podobało. Dowiedział się, że tam jest lepiej, więc pożyczył na wycieczkę i uciekł. Trafił do tzw. obozu i jakoś trwał. Ludzie przyjeżdżali, ludzie wyjeżdżali, a on wegetował. Nie znał się na polityce, nigdy się w nią nie angażował. Po prostu chciał do Ameryki, zaś amerykańscy urzędnicy imigracyjni domagali się odeń politycznej przeszłości, i to ze szczegółami. On zaś biedak znał jedynie dwa nazwiska: Wałęsy i przewodniczącego w zakładzie, w którym ongiś pracował. Spiął się więc w sobie, zadzwonił do koleżanki w kraju i znał już więcej szczegółów z życia regionalnej "Solidarności". Jaką historię ułożył z tych ułamków wiadomości, nie wiem. Fakt, że azyl otrzymał i do Stanów wyjechał. Kariery nie zrobił, ale nie narzeka. Sprząta kasyno w Las Vegas i żyje mu się lepiej niż w Polsce. Koleżance pozostaje wdzięczny do dziś. Od czasu do czasu przysyła jej kolorową kartkę.

Spośród tysięcy "solidarnościowców", którzy trafili do Stanów zdarzają się tacy, których można by porównać do ryb, które wreszcie trafiły do czystej wody. Są obrotni, szybko się aklimatyzują, zdobywają nowe zawody, zakładają własne firmy, robią małe kariery. Większość przedstawia jednak smutny widok. Nie takiej Ameryki oczekiwali. Liczyli na to, że sam przyjazd tutaj to zewsząd napływająca pomoc i szybkie wejście w amerykański dobrobyt. Tymczasem okazało się, że liczyć mogą na niewiele. Skromne lokum i jedna oferta pracy, z reguły słabo płatnej. Dalej radź sobie sam. Rząd amerykański nie łoży na imigrantów. Jedynie nieliczne organizacje społeczne, obywatelskie się tym zajmują.

Polonia odnosi się do nowych przybyszów życzliwie /inna sprawa, że większej pomocy im nie udziela/, ale i krytycznie. Ktoś powiedział ironicznie,

że ludzie ci usłyszeli, że Ameryka jest krajem mlekiem i miodem płynącym. Przybyli i poczuli się oszukani. W rzekach płynęła woda.

A tak zupełnie serio: drodzy młodzi podróżnicy, jeśli już wybieracie się na którąś z najtańszych wycieczek, to zastanówcie się co dalej, co macie do zaoferowania. Spotkałem kiedyś młodego chłopaka bardzo obrażonego na Amerykę. Skończył ogólniak i przypłynął promem do Kopenhagi. Dwa lata nudził się jak mops w obozie. Miał co jeść, gdzie spać. Wybierał się do Stanów, więc mógł uczęszczać na bezpłatny kurs angielskiego. Kiedy go spotkałem nie znał ani słowa po angielsku...

"Uciekinierzy" "uciekinierami", ale przecież zdarzają się autentyczni emigranci polityczni. Nie można bowiem zaprzeczyć, że niektórzy prawdziwi działacze wyjechali. No cóż, zdarza się, choć trudno nie zauważyć, że miliony tych, których mieli prowadzić na barykady pozostały w kraju. Gorzej, że część z nich dalej czuje się przywódcami. To, że Leszek Waliszewski zostawił region górnośląski i pojechał do Teksasu, gdzie żyje mu się - przypuszczam - spokojnie i dostatnio, nie mnie oceniać, bo za mało o jego sprawie wiem. Ale kiedy tenże Leszek Waliszewski zamieszcza w nowojorskim "Nowym Dzienniku" sążnisty elaborat o tym jak to Polacy mają obalić komunizm...

Żeby jednak nie popaść w skrajność trzeba wspomnieć i o tych, którzy zrozumieli rolę działacza "Solidarności" na emigracji. Szkoda, że w Stanach są rozbici, że organizacyjnie ich działalność nie jest popisem skuteczności. Ale przecież coś robią. Ich zbiórki nie przynoszą milionów, ale i te tysiące dolarów to farba, powielacze, "bibuła", które docierają do kraju.

"Tu mówi Londyn". Stosunek Polonii amerykańskiej do grupy polityków próbujących podtrzymać tradycję centrum polskiego w Londynie jest co najmniej obojętny, by nie powiedzieć negatywny. Z pewnością

decyduje tu poczucie własnej wielkości i siły wobec operetkowej nieco grupy londyńskiej.

Przejdźmy jednak do konkretów. Niedawno przez amerykańską prasę polonijną przewaliła się burza dyskusji nad aktualnością zasady legalizmu i przywództwa tzw. rządu londyńskiego. Awantura rozpoczęła się od artykułu Jerzego Lerskiego /"Emisariusz Jur"/, który stwierdził, że "król jest nagi" i wobec tego czas z tą fikcją skończyć. I wtedy zaczęło się. Sążniste elaboraty protestacyjne zaczęli słać ministrowie, generałowie, kawalerowie krzyża Virtuti Militari i cała mozaika różnych dzielnych wojowników o "wolność umęczonej ojczyzny". Ha, cóż, kiedy rząd Arciszewskiego protestował przeciwko przehandlowaniu przez aliantów niepotrzebnego już sojusznika - był to akt dramatu. Kiedy jednak czterdzieści lat później kanapowa grupka starszych panów mieni się jedynym legalnym przedstawicielstwem narodu polskiego, to jest to już tylko akt żałosnej farsy. Cóż, i takie mogą być efekty emigracji, także tej politycznej.

Ale, ale. Winien jestem niejednemu Czytelnikowi istotne wyjaśnienie: w Londynie nadal istnieją Rząd i Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Ostatnio zaszły tam istotne zmiany personalne. Z urzędu prezydenta ustąpił wiekowy - skądinąd zasłużony - Edward Raczyński. Swoim następcą mianował dotychczasowego premiera Kazimierza Sabata. Nowy prezydent, który karierę polityczną rozpoczynał w harcerstwie, tuż po zaprzysiężeniu odbył wraz z małżonką podróż do środowisk polonijnych w Brazylii. Ministerstwo Spraw Wojskowych /kilkuosobowe/ nadal kontynuuje akcję przyznawania odznaczeń. Inne resorty większej aktywności nie przejawiają.

O linii rządowej Augusta Zaleskiego wiadomości brak.

C.d.n.

Maciej Eski

O własności w świetle encyklik papieskich

I

Zagadnienie własności jest jednym z wielu niezwykle istotnych jakimi zajmuje się katolicka nauka społeczna. Jest bardzo trudno dać jednoznaczną odpowiedź na pytanie, co jest w nauce społecznej Kościoła zagadnieniem najistotniejszym, co mniej istotnym, lub istotnym na nieco odmiennej płaszczyźnie. Otóż moim zdaniem problem własności jest jednym z centralnych, a to przede wszystkim ze względu na fakt, jak duże znaczenie ma własność dla osoby ludzkiej, dla jej bytowania doczesnego. Celowo użyłem określenia "osoby ludzkiej" zamiast po prostu "człowiek", ze względu na przynajmniej trzy aspekty. Po pierwsze - zestawiając pojęcie osoby ludzkiej i własności pragnę nawiązać do podstawowych zagadnień personalizmu chrześcijańskiego, doktryny filozoficznej mającej swe konsekwencje w dziedzinie filozofii społecznej. Klasyczna definicja osoby ludzkiej Boecjusza - "Osoba jest indywidualną substancją natury rozumnej /persona est naturae rationalis individua substantia"/ - wymaga pewnego uzupełnienia. Kardynał Karol Wojtyła w pracy pod tytułem "Osoba i czyn" pisze: "Właściwe człowieczeństwu istnienie jako jednostki jest istnieniem osobowym". Oczywiście można to jeszcze uzupełniać definicjami Emmanuela Mouniera, Jacquesa Maritaina czy księdza W.Granata, ale zasadnicze aspekty osoby ludzkiej już zostały wyeksplikowane: jej indywidualność, substancjonalność, cielesność, duchowość i niepowtarzalność. Otóż zagadnienie własności odnosi się właśnie do owej indywidualności, substancjonalności osoby ludzkiej. Własność powinna zatem cechować się także - w pewnym sensie - ową indywidualnością. Stąd może

trafniejszym byłoby mówienie - nie tyle o własności prywatnej - co o własności osobowej czy też indywidualnej.

W zasadzie już na samym początku pragnę zaznaczyć, że właśnie ze względu na to, co zostało powiedziane powyżej, mówiąc o własności, możemy najtrafniej o niej mówić odnosząc się do jej osobowego, indywidualnego charakteru.

Po drugie - posługując się zestawieniem pojęć osobowości ludzkiej i własności - pragnę zaakcentować wspólną moim zdaniem zasadę podmiotowości zarówno osoby ludzkiej - co jest raczej oczywiste i nie wymaga dowodzenia - jak i podmiotowych cech własności, własności osobowej. Nie utożsamiam jednak jednoznacznie własności z dobrami materialnymi. Traktuję własność szerzej, zarówno jako własność samego siebie, podmiotowość osoby, jak i własność, niepowtarzalność, nieidentyczność całej działalności poszczególnego człowieka w dziedzinie doczesnej. Własność osobista - to przecież nie tylko posiadanie dóbr materialnych, ale również, a może przede wszystkim, własnych poglądów, własnych zapatrywań i niepowtarzalnych odczuć i emocji. Oczywiście wykraczam może nieco poza zasadniczy temat niniejszej pracy, ale czynię to jedynie ze względu na podkreślenie moich własnych, osobistych poglądów w kontekście społecznego nauczania Kościoła.

Po trzecie - zagadnienie własności należy rozumieć nie tylko w znaczeniu "posiadać" lub "mieć", ale również w znaczeniu "być"; być własnością, podmiotem swojego własnego jestestwa. Nie należy także problemu własności w nauczaniu społecznym Kościoła uważać za wyraz prymatu "mieć", "posiadać" - nad "być" - gdyż taka interpretacja byłaby ewidentnym wypaczeniem i nadużyciem.

II

Podstawowym źródłem całej katolickiej nauki społecznej jest Pismo Święte. Księgi Starego Testamentu są najstarszym historycznym źródłem myśli społecznej Kościoła. Również zagadnienie własności znalazło w Piśmie Świętym Starego Testamentu obszerne wyjaśnienia. W siódmym i dziesiątym przykazaniu Dekalogu mamy stwierdzone wyraźnie prawo posiadania prywatnego, indywidualnego. "Nie będziesz kradł /.../ Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego. Nie będziesz pragnął domu swojego bliźniego ani jego pola, ani jego niewolnika, ani jego niewolnicy, ani jego wołu, ani jego osła, ani żadnej rzeczy, która należy do twojego bliźniego" /PWT 5, 18 i 21/. Papież Leon XIII w encyklice "Rerum novarum" uważa dziesiąte przykazanie za najbardziej bezwzględne sformułowanie prawa własności prywatnej, zabroniono w nim bowiem nie tylko czynnego naruszania tego prawa, ale nawet naruszania w myśli. Prof. Czesław Strzeszewski pisze: "Istotnie trudno o bardziej kategoryczny nakaz ochrony własności i bardziej imperatywne ustanowienie prawa własności. Przykazanie "nie kradnij" występuje po przykazaniach nakazujących ochronę życia człowieka i rodziny, przy czym zarówno w stosunku do własności, jak i rodziny potępia Dekalog nie tylko czyn, ale i myśl grzeszną. W ten sposób instytucja własności została postawiona na trzecim miejscu, po życiu i rodzinie, w hierarchii wartości przyrodzonych".

Księgi Starego Testamentu omawiają również źródła własności prywatnej. Generalnie rzecz biorąc mówi się w nich o zgodności posiadania indywidualnego z prawem naturalnym. Historycznie rzecz ujmując - Księgi Starego Testamentu dostarczają nam wielu dowodów historycznych przemawiających za istnieniem własności prywatnej już na dwa ty-

siące lat przed narodzeniem Chrystusa.

Zagadnienie własności w Nowym Testamencie znajdzie nieco inne naświetlenie. Nauka Jezusa Chrystusa wprowadza właściwą hierarchię celów i obowiązków życiowych człowieka. Posiadanie własności, tzn. zaspokojenie potrzeb gospodarczych czy też gromadzenie bogactw winno być podporządkowane celom nadprzyrodzonym. Własność prywatna dóbr materialnych powinna poprzez uczynki miłosierdzia stać się przedmiotem wymiany na dobra nadprzyrodzone. "I ta zdolność wirtualna wymiany decyduje o pozytywnej wartości moralnej dóbr gospodarczych, własności prywatnej. Chrystus potwierdza tę ocenę moralną wartości i w innych wypowiedziach, jak na przykład w przypowieści o przewrotnym włodarzu /Łk, 16, 1 - 8/". Jezus Chrystus formułuje również pewne obowiązki ciążące na własności prywatnej. Ująć to można w formułę "udzielania" własności prywatnej, dóbr gospodarczych innym. Nie chodzi tu jednak o wyrzeczenie się posiadania, ale o łatwe ich udzielanie.

Zauważyć tu należy cztery zasadnicze sprawy:

1. Pismo Święte niezmiennie ujmuje zagadnienie własności, jako własności naturalnie indywidualnej
2. nie ma mowy o wspólnocie dóbr materialnych, o kolektywnym ich posiadaniu
3. na własności leży obowiązek udzielania jej innym ludziom
4. własność nie jest celem ani doczesnym, ani ponaddoczesnym - jest jedynie środkiem służącym życiu doczesnemu, środkiem służącym życiu człowieka tak, by doprowadzić go do życia wiecznego.

III

Problem własności znalazł szczególnie obszerne wyjaśnienie w myśli Ojców Kościoła.

Legalność moralną posiadania prywatnego stwierdza już jeden z pierwszych dokumentów starochrześcijańskich "Didache", czyli "Nauka dwunastu apostołów". Podkreślone zostają równocześnie obowiązki społeczne, jakim podlega własność. Istotę nauczania Ojców Kościoła w sprawie własności prywatnej papież Pius XII ujmuje następująco: "Własność prywatna przeznaczona jest bowiem na używanie wspólne". Święty Bazyli Wielki, Święty Ambroży, Święty Jan Chryzostom, Święty Hieronim jak również Święty Grzegorz Wielki akcentują następujące sprawy:

1. Własność prywatna nie jest złem moralnym; złem moralnym jest natomiast złe używanie bogactwa
2. Obowiązkiem moralnym ciążącym na własności - jest jej udzielanie potrzebującym.

W nauce Św.Grzegorza Wielkiego zarysowany zostaje rozdział prawa własności na prawo posiadania i prawo użytkowania, przy czym - jak mówi prof. Strzeszewski - prawo użytkowania, a nie prawo posiadania należy bezpośrednio do prawa naturalnego.

IV

Warto przez chwilę zatrzymać się nad filozofią społeczną świętego Tomasza z Akwinu, gdzie nauka o własności znajduje obok zagadnienia pracy niezmiernie ważną rolę. Generalnie - uprawnienia człowieka w odniesieniu do dóbr materialnych sprowadzają się do trzech zagadnień: użytkowania, zarządzania i rozdziału własności.

Według św. Tomasza z Akwinu prawo do użytkowania dóbr gospodarczych należy bezpośrednio do prawa naturalnego, prawo do posiadania pośrednio tylko, bezpośrednio zaś jest częścią ius gentium.

Prof. Strzeszewski w "K.N.S." pisze, że "posiadanie prywatne jest wnioskiem wyprowadzonym przez człowieka z zasad pierwszych prawa naturalnego, wnioskiem dostosowanym do określonych okoliczności życia ludzkiego". Nie wnikając w szczegóły rozważań św. Tomasza należy stwierdzić co następuje:

instytucja własności prywatnej znacząco łączy się z zasadami prawa przyrodzonego, i tylko w porządku nadprzyrodzonym można ją odrzucić.

Święty Tomasz akcentuje w swojej filozofii społecznej priorytet prawa użytkowania. Ponieważ zarówno prawo do użytkowania jak i prawo do posiadania dóbr gospodarczych należy do prawa naturalnego, ma ono pierwszeństwo przed prawem pozytywnym, prawem ludzkim, tworzonym przez ludzi. Prawo do posiadania prywatnego wskazuje na konieczność rozdziału własności pomiędzy ludzi, jest podstawą istnienia instytucji własności prywatnej jako takiej. Konkretne formy wykonania tego prawa, formy ustrojowe własności, należą do prawa pozytywnego, ludzkiego, są dziełem ludzkim, a nie ustawy Bożej. I w tym właśnie zakresie prawo do użytkowania ma pierwszeństwo przed prawem posiadania - z prawa naturalnego bowiem wszystkie dobra materialne zostały przeznaczone na pożytek wszystkich ludzi. Prawo użytkowania reprezentuje zatem uprawnienia całej ludzkości.

Nie ma oczywiście również sprzeczności pomiędzy posiadaniem prywatnym a użytecznością społeczną - używanie i posiadanie uzupełniają się wzajemnie. "Prawo posiadania oparte jest na prawie użytkowania, użytkowanie zaś realizuje się konkretnie w porządku świata w postaci posiadania. Posiadanie więc jest nierozłączne od użytkowania".

Święty Tomasz z Akwinu określając zakres własności prywatnej uważa, że własność prywatna, posiadanie sprowadza się do swobodnego rozporządzania dobrami, do swobodnego ich używania bądź na własne potrzeby, bądź na potrzeby innych ludzi. Na uwagę zasługuje fakt, iż święty Tomasz podkreśla zasadę dbałości o własność po to, by osiągała ona maksymalną użyteczność społeczną.

Uzasadniając własność prywatną Akwinanta posługuje się trzema argumentami:

1. Większej produkcyjności dóbr wytwórczych w administracji prywatnej
2. Uporządkowania życia gospodarczego w ustroju prywatno-własnościowym
3. Spokoju użytkowania jaki daje instytucja własności prywatnej.

Podkreślić należy wyjaśnienie, bardzo współczesne, jakim opatruje argument pierwszy. Otóż święty Tomasz stwierdza, że każdy człowiek bardziej dba o swoją własność niż o wspólną; przy własności zbiorowej - czy też społecznej, kolektywnej - każdy uchyla się od pracy. Przypomina to współczesne zagadnienie własności kolektywnej w ustroju komunistycznym czy socjalistycznym, która opatrywana jest mianem "własności niczyjej".

Kończąc bardzo wybiórcze omówienie zagadnienia własności w filozofii społecznej świętego Tomasza z Akwinu posłużę się słynną trawestacją jego myśli, bardzo dobrze oddającą sedno jego poglądów w kwestii własności: własność ma być prywatna w posiadaniu, ale wspólna w użytkowaniu.

V

Zbliżając się do zasadniczego tematu - problemu własności w świetle wybranych encyklik papieskich - szczególnie "Rerum novarum" Leona XIII, "Quadragesimo anno" Piusa XI czy "Laborem exercens" Jana Pawła II - przez chwilę zatrzymajmy się na przyłomie XVIII i XIX wieku, na który to okres przypada szczególne ożywienie katolickiej myśli społecznej. Wspomnieć należy, że u schyłku wieku XVIII następują zasadnicze przeobrażenia stosunków społeczno-gospodarczych i polityczno-społecznych, wobec których należało zająć określone stanowiska. Przemiany w owym czasie groziły całkowitym "spoganieniem" cywilizacji europejskiej. Papież Pius XI w encyklice "Ubi Arcano Dei" pisał, że niebezpieczeństwem owych czasów było to, że obyczaj chrześcijański zanikał do

tego stopnia, iż społeczeństwa ówczesne cofały się raczej ku barbarzyństwu niż podążały drogą postępu cywilizacji.

Niemalże wszystkie działania, mające zapobiec upadkowi chrześcijaństwa, cechowała wspólna idea - przekonanie o konieczności reform społecznych w duchu chrześcijańskim, obawa, że przemiany ustrojowe usuną pierwiastki chrześcijańskie z cywilizacji współczesnej.

Ograniczę się jedynie do zasygnalizowania pewnych postaw - szczególnie w odniesieniu do interesującego nas zagadnienia własności.

Jednym z wybitniejszych społecznych myślicieli katolickich był F.Le Play /1806-1882/, założyciel tzw. szkoły pokoju społecznego czy inaczej szkoły reformy społecznej. Według Le Playa warunkiem pokoju społecznego jest oparcie stosunków społecznych na trwałych podstawach. Wymienia tu trzy zasadnicze elementy: "Dekalog" i władza ojcowska, religia i władza publiczna oraz - co nas najbardziej interesuje - własność prywatna w jej trzech postaciach. A zatem mamy cztery podstawy życia społecznego: religię, własność, rodzinę i pracę. Wspomniane wyżej trzy postaci własności to:
- własność gminna - to jest własność zbiorowa gmin wiejskich i miejskich
- własność prywatna - przybierająca w koncepcji Le Playa charakter własności rodzinnej
- własność patronalna - własność przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych.

Ujmując to socjologicznie można powiedzieć, że Le Play wyróżnia trzy rodzaje własności:
1. Własność prywatną /rodzinną/
2. własność zawodu /patronalną/
3. własność grupy terytorialnej /gminną/.

"Le Play przywiązuje wielką wagę do drobnej własności, uważa ją za najbardziej korzystną formę własności. Jest to bowiem własność rodzinna, a rodzinę uważa on za naturalną i podstawową komórkę życia społecznego".

W Niemczech z kolei powstała szkoła społeczno-ohrześciajańska, a jej najwybitniejszym przedstawicielem był biskup Moguncji W.E.von Ketteler /1811-1877/. Swą teorię społeczną sprowadza w zasadzie do dwóch problemów - pracy i własności. Ketteler uważa, że własność winna być oparta na zasadach chrześcijańskich; jej źródłem jest prawo natury. Ale twierdzi, że współczesna /kapitalistyczna/ koncepcja własności, która czyni z właściciela bezwzględnego władcę swych dóbr, nie obciążonego żadną funkcją społeczną, zwolnionego z wszelkiej odpowiedzialności moralnej - jest nieustanną zbrodnią przeciw prawu natury. Ketteler przyjmuje w całości naukę św. Tomasza o własności prywatnej obciążonej obowiązkami na rzecz społeczeństwa, a za najkorzystniejszą formę produkcji uznaje złączenie własności z pracą. Próbując rozwiązać kwestię własności robotniczej, Ketteler uważa, że jej najwłaściwszym rozwiązaniem jest spółdzielnia pracy robotniczej, gdzie robotnik będzie jednocześnie właścicielem i pracownikiem.

Z kolei K.von Vogelsang /1818-1890/ - główny przedstawiciel szkoły austriackiej, uczeń Kettelera, postuluje w sprawie kwestii robotniczej tworzenie korporacji, to jest organizacji zawodowo-stanowej o charakterze przymusowym. Wiąże się z tym problem własności: własność posiadać będzie korporacja /własność środków produkcji/. Vogelsang twierdzi, że maszynizm wyzuł robotnika z własności warsztatu pracy, korporacja zaś poprzez własność zbiorową ma mu przywrócić to utracone prawo. Generalnie Vogelsang postuluje połączenie w prawie własności elementów własności prywatnej i zbiorowej.

Inaczej widzi zagadnienie własności Rene de la Tour du Pin /1834-1924/, jeden z najśmielszych reformatorów katolicko-społecznych, główny teoretyk szkoły z Liege, zaliczanej do nurtu kor-

poracjonizmu chrześcijańskiego. Uznawał doniosłą rolę własności prywatnej dla utrzymania ciągłości życia społecznego i ochrony życia rodzinnego.

VI

ENCYKLIKA "RERUM NOVARUM" - "O KWESTII ROBOTNICZEJ" LEONA XIII wydana 15 maja 1891 r., przez Piusa XI' nazwana "Magna charta" chrześcijańskiej pracy zawiera zarys praw i obowiązków pracownika zgodny z zasadami etyki katolickiej. Jej osią centralną jest ocena moralna ówczesnej sytuacji społecznej proletariatu. Interesujące nas zagadnienie własności papież uważa za niezwykle istotne, rozwija chrześcijańską teorię własności powołując się na Pismo Święte i doktrynę filozofii społecznej świętego Tomasza z Akwinu.

Papież Leon XIII rozróżnia indywidualne posiadanie od wspólnego użytkowania - co jak pamiętamy - jest również sednem rozważań świętego Tomasza.

Własność prywatna, prywatne posiadanie dóbr materialnych na własność jest naturalnym prawem człowieka, jest prawem natury, gdyż domaga się jej rozum, zdolność myślenia różniąca nas od innych zwierząt oraz nałożony przez Boga na człowieka obowiązek starania się o przyszłość. Na uwagę zasługuje tu podkreślenie godności posiadania prywatnego, godności i podmiotowości - jako cech identycznych z tymi, które przysługują człowiekowi, osobie ludzkiej.

O osobowym charakterze własności świadczy fakt, że poprzez pracę osoba ludzka wyciskając na niej piętno swojej osobowości - tworzy także osobowe dobro, własność. A zatem postawiona na początku niniejszej pracy teza o podmiotowym, osobowym charakterze własności indywidualnej zostaje potwierdzona w całej rozciągłości.

Idąc dalej Leon XIII mówi, że własność prywat-

na jest dla robotnika celem, owocem jego pracy i oszczędności, a zarazem sposobem polepszania swego losu, losu rodziny. Zagadnienia omawiane brzmią pełniej w kontekście zdecydowanej krytyki fałszywego rozwiązania kwestii robotniczej, jakim jest socjalizm, postulujący zniesienie posiadania własności prywatnej i zastąpienia go kolektywnym, anonimowym i bezosobowym - co ma uleczyć zło. "To jednak nie rozwiąże trudności, a samej klasie robotników przyniesie w rezultacie szkodę. Jest ponadto ten pogląd niesprawiedliwym; zadaje bowiem gwałt prawnym właścicielom, psuje ustrój państwa i do głębi wzburza społeczeństwo". I nieco dalej czytamy: "Zamiana zatem posiadania z prywatnego na wspólne, do której dążą socjaliści, pogorszyłaby warunki życia wszystkich robotników, pobierających płacę, ponieważ odebrałaby im swobodę używania płacy na cele dowolne, a tym samym także nadzieję i możność pomnożenia majątku rodzinnego i polepszenia losu". Zadziwiająca jest dalekowzroczność Leona XIII. Już niespełna pół wieku później, w Rosji Sowieckiej odebrano w imię zniesienia własności prywatnej obszarników i wyzyskiwaczy - nadzieję Człowiekowi. Nadzieję będącą źródłem życia ludzkiego, nadzieję na polepszenie losu, nadzieję na życie. I to nie wszystko. Podczas przymusowej kolektywizacji wymordowano /zagłodzono na śmierć/ ponad 10 milionów chłopów rosyjskich - a wszystko w imię kolektywnej szczęśliwości własności wszechpotężnego aparatu władzy - utożsamianej przez niektórych z państwem.

Jak pisze Leon XIII w "Rerum novarum" nie ma podstaw do wysuwania opatrzności państwowej na usprawiedliwienie własności wspólnej; "człowiek bowiem starszy jest niźli państwo, a prawo do życia i troski o ciało otrzymał jeszcze, zanim jakiekolwiek powstało państwo" /enc. "Rerum novarum" s.650/.

Prywatna własność, prawo posiadania na własność ziemi, którą się uprawia - uświęca także obyczaj wieku - jako instytucję najlepiej odpowiadającą ludzkiej naturze i zgodną z pokojowym współżyciem ludzi. Uświęciła je także powaga Boskiego prawa, zakazująca nawet w myśli żądania cudzego dobra. "Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego, ani domu, ani roli, sni służebnicy, ani wołu, ani osła i wszystkich rzeczy, które jego są" /Pp 5, 21/

Niestety ideologowie socjalizmu przecząc istnieniu Boga, przecząc osobowemu istnieniu i niepowtarzalności człowieka, osobowemu charakterowi pracy - traktując instrumentalnie, przedmiotowo zarówno istotę ludzką jak i jej działalność - negują zasadność owego Boskiego uświęcenia; to społeczność, zbiorowość ma być jedynym gwarantem i uzasadnieniem człowieka, sensowności jego pracy i posiadania własności, własności oczywiście wspólnej, kolektywnej. Nie miejsce jednak tu na dokładniejszą analizę konsekwencji płynących z doktryny socjalistycznej czy komunistycznej, którą zresztą już wielokrotnie przeprowadzono. I tak na przykład Jacques Maritain expressis verbis pokazuje nam, czym w swej istocie jest myśl marksistowska leżąca u podstaw obu ustrojów, zarówno socjalizmu jak i komunizmu, z którymi polemizują papieże, bądź pośrednio, w odniesieniu do konkretnych zagadnień, bądź tak, jak to czyni papież Pius XI w encyklice "O bezbożnym komunizmie". Maritain pisze, że marksizm żąda od człowieka zrzeczenia się jego najgłębszych wymagań na korzyść monizmu życia kolektywnego i w samym swoim sednie - jest głęboko nieludzki, siłą wymusza na istocie ludzkiej posłuszeństwo. Najważniejszym zadaniem komunizmu czy też socjalizmu jest panowanie nad człowiekiem, by człowiek był biernie posłuszny; a to znieważa i człowieka, i Boga.

Czym w istocie swojej jest socjalizm, i czym był w momencie, gdy powstawała encyklika "Rerum novarum"? Otóż był protestem sumienia ludzkości, jej najszlachetniejszych instynktów przeciwko złu wołającemu o pomstę do nieba; obudził poczucie sprawiedliwości i godności pracy, występował przeciwko - już nie tylko nadużyciu własności prywatnej wielkich kapitalistów - co przeciwko samej zasadzie gromadzenia dóbr w rękach nielicznych właścicieli. Był protestem przeciwko kapitalistycznemu wyzyskowi człowieka przez człowieka, przeciwko wyzyskowi pracy. Jednakże rozczarowania, które przyniósł ludziom, tragiczne błędy metafizyki i filozofii społecznej - zdyskredytowały go ostatecznie i definitywnie. Jego klęska - jak sądzę - bierze się m.in. z faktu zapoznania tego, co w człowieku wieczne, transcendentalne, jego niezniszczalności w duchowym aspekcie jego osobowości, indywidualności w wymiarze doczesnym.

Pewna forma wyzysku pracy została zniesiona. "Nie wystarczy jednak znieść ustrój kapitalistyczny /zwłaszcza gdy się go zastępuje komunizmem/ by znieść wszelką formę wyzysku człowieka przez człowieka, zwłaszcza gdy wyzysk jednostki ludzkiej przez kolektyw może przyjąć zatrważające rozmiary". Maritain mówił także o straszliwym wyzysku jaki niesie totalitaryzm komunistyczny /szczególnie w Rosji Sowieckiej/, który niszczy, jak i inne formy totalitaryzmu, swobodę nie tylko działań ale i myśli, swobodę decyzji i który w praktyce niesie nowe niewolnictwo - tym razem na korzyść bezosobowego kolektywu.

Niebezpieczeństwem dla rodziny są tendencje reprezentowane przez socjalizm, który pragnie, deprecjonując rolę rodziców, wprowadzić na jej miejsce - w sposób bezprawny i uzurpatorski - opatrzność państwową. Prowadzić to może w kon-

sekwencji do rozerwania jedności rodzinnej czy też nawet rozpadu rodziny. Oczywiście należy dodać w tym miejscu pewne ważne uzupełnienie. Systemy kolektywizmu - czy to socjalizm, czy też komunizm - zakładają sobie niemalże programowo zniszczenie podstawowych więzi międzyludzkich, które nie podlegają władzy czy też jurysdykcji państwa o takim ustroju. Pełna kontrola nad poszczególnym człowiekiem traktowanym instrumentalnie ma swoje konsekwencje w postaci niszczenia jego pierwotnych więzi z drugim człowiekiem, rodziną, ma doprowadzić w efekcie do całkowitego zniewolenia, zniszczenia naturalnych potrzeb natury ludzkiej, potrzeby do udzielania siebie innemu człowiekowi.

Papież Leon XIII wybrał z całej gamy problemów związanych z socjalizmem aspekt własności - by na jego podstawie ostrzec wszystkich chrześcijan przed niebezpieczeństwem płynącym z przyjęcia tego rodzaju filozofii społecznej. W pewnym momencie utożsamiając niejako idee własności wspólnej - z samym socjalizmem mówi, że wprowadzenie własności wspólnej grozi społecznym rozstrojem. "Oprócz niesprawiedliwości sprowadziłby ten system jeszcze bez wątpienia zamieszanie i przewrót całego ustroju, za czym by przyszła twarda i okrutna niewola obywateli. Otwarłaby się brama zawiściom wzajemnym, swarom i niezgodom; po odjęciu bodźca do pracy jednostkowym talentom i zapobiegliwościom, wyschłyby same źródła bogactw; równość zaś, o której marzą socjaliści, nie byłaby czym innym, jak zrównaniem wszystkich ludzi w niedoli.

Z tego jasno widać, że się należy ze wszystkich sił przeciwstawiać dążności socjalizmu do wspólnego posiadania; zaszkodziłoby ono nawet tym, którym socjaliści chcą pomóc; sprzeciwia się zaś naturalnym prawom jednostek, a wstrząsa ustrojem państwa i powszechnym pokojem. Niech

więc pozostanie jako prawda zasadnicza, że nietykalność własności prywatnej stanowi pierwszy fundament, na którym należy oprzeć dobrobyt ludu".

Zaznaczone powyżej zagadnienia nie stanowią jednak całości rozwiązania problemu własności. Niezwykle istotną sprawą jest poruszana przez Leona XIII - obok roli Kościoła - funkcja opiekuńcza państwa i jego stosunek do własności indywidualnej. Papież na pierwszym miejscu stawia zasadę mówiącą, że państwo winno otoczyć własność prywatną opieką prawa, "a warstwy ludowe, do których wdarło się pożądanie własności cudzej, utrzymać w granicach obowiązku". Państwo zatem ma stać na straży własności osobowej, jest to jego obowiązek a zarazem źródło jego pomyślności.

Wspomnieć w tym miejscu należy przynajmniej o dwóch problemach łączących się z zagadnieniem własności - o pracy i roli państwa. Istotna łączność pracy jako jednego z podstawowych źródeł własności prywatnej, jako środka do godziwego życia, winna być właśnie przez państwo zapewniona wszystkim ludziom. Praca musi mieć swój cel, swój owoc, swoją wartość i godność, musi służyć życiu i łączeniu ludzi, prawdzie; praca nie może być kłamstwem, bo, jak to ujmuje ksiądz Józef Tischner w "Etyce Solidarności", "kłamstwo pracy - jest wyzyskiem pracy, a praca wyzyskiwana zamiast tworzyć - dzieli, a dzieląc grozi zabijaniem".

Leon XIII pisze, że "państwo winno wyzwolić pracowników z niewoli ludzi chciwych, którzy dla celu zysku bez miary nadużywają osób, jak rzeczy martwych. Ani sprawiedliwość, ani uczucie ludzkości nie pozwalają wymagać takiej pracy, by umysł tępiał od zbytniego trudu, a ciało upadało od zmęczenia. Sprawność ludzka, jak i cała natura ma swoje określone granice, których przekraczać nie wolno". Wyzysk pracy jest, jak wi-

dzimy, zakłóceniem podstawowych struktur pracy, jest także moralnym wyzyskiem pracy... "Być może początek nieprawdy jest taki: zamiast pracy dla człowieka - stanął człowiek dla pracy?".

Stosunek państwa do własności prywatnej ujmuje papież jednoznacznie: prywatna własność nie może być wyczerpana poprzez nadmierne podatki i "ciężary publiczne". "Władza państwowa bowiem nie może niszczyć prawa własności prywatnej, bo natura jest jego źródłem, nie wola ludzka; może tylko jego używanie ograniczać i do dobra ogółu dostosowywać. Działałaby więc niesprawiedliwie i niegodnie, gdyby z prywatnej własności ściągała w postaci podatków więcej, niż się należy".

VII

15 maja 1931 roku, w czterdziestą rocznicę ukazania się encykliki "Rerum novarum" Leona XIII zostaje ogłoszona przez papieża Piusa XI nowa encyklika społeczna QUADRAGESIMO ANNO - ENCYKLIKA O ODNOWIENIU USTROJU SPOŁECZNEGO I DOSTOSOWANIU GO DO NORMY PRAWA EWANGELII. Idąc za wzorem "Rerum novarum" papież Pius XI na pierwszym planie stawia społeczną naukę Kościoła dotyczącą prawa własności. Przypomina obronę prawa własności osobowej przed zakusami socjalizmu, przeprowadzoną przez Leona XIII, niebezpieczeństwa płynące ze zniesienia własności prywatnej, dodając jednocześnie bardzo istotne uzupełnienia, których brak przyczynił się do bardzo ostrych ataków na myśl zawartą w "Rerum novarum". Pius XI akcentuje zgodnie z nauką społeczną Kościoła - podwójny charakter własności: indywidualny - służący dobru jednostek i społeczny - mający na względzie dobro publiczne. Owa dwuaspektowość własności wypływa z faktu, iż prawo do własności otrzymali ludzie od natury, od Stwórcy, po to, by jedno-

cześnie zaspokajając indywidualne własne potrzeby /jak również potrzeby rodziny/, po to, by dobra materialne przez Stwórcę dane przeznaczać na użytek wszystkich ludzi. Jest to już bardziej precyzyjne postawienie kwestii niż raczej enigmatyczne, Tomaszowe - "własność prywatna, użytkowanie wspólne" - na którym nota bene społeczna nauka Kościoła o własności opiera się. Rozgraniczenie podwójnego charakteru własności, jak to czyni papież Pius XI, jest dostosowaniem społecznej filozofii Kościoła do współczesnej rzeczywistości; dzięki owej precyzyjności - możemy uniknąć większości nieporozumień i daleko idących symplifikacji w interpretowaniu własności indywidualnej.

Jednocześnie Pius XI ostrzega przed dwoma skrajnościami, w jakie interpretacja jak i praktyka społeczna popaść mogą: indywidualizmem - zaprzeczającym społecznemu chrakaterowi własności i kolektywizmem - całkowicie odrzucającym własność osobową na rzecz totalnej "wszechwłasności" bezosobowego kolektywu. Zagadnienie zagrożenia kolektywizmem przewija się nieustannie w encyklice "Quadragesimo anno" w najrozmaitszych kontekstach.

Papież pragnąc położyć kres sporom w sprawie własności i związanych z nią obowiązków - dokonuje rozróżnienia między prawem posiadania a prawem używania: "...nie jest słusznym twierdzenie, że się pojęcie własności pokrywa z pojęciem uczciwego używania; a bardziej jeszcze nieprawdziwym jest zdanie, iż przez nadużywanie lub nieużywanie własności ginie prawo do niej, lub, że się je traci". Wydaje się, że owe nieporozumienia spowodowane zostały paroma tendencyjnymi interpretacjami. Po pierwsze socjalistycznymi - lub lepiej kolektywistycznymi - uzurpacjami, dla których definiowanie własności osobowej pokrywające się z używaniem tejże było wyraźnie na rękę; po

drugie - przekłamaniami dotyczącymi nadrzędnej roli państwa i jej prawnych interpretacji w odniesieniu do prawa własności.

Papież zaznacza wprawdzie, iż należy ustalić naturę obowiązków własności i granice, które w wykonaniu prawa własności zakreślają konieczności życia społecznego, lecz kategorycznie twierdzi, że w błędzie pozostają ci, którzy do tego stopnia zacieśniają indywidualny charakter własności, że go w rzeczywistości całkowicie negują, niszczą.

Przy używaniu własności trzeba mieć na względzie zarówno korzyść własną, jak i dobro ogółu - jednakże skodyfikowanie owych obowiązków - należeć powinno do państwa tylko o tyle - o ile prawo naturalne nie ujmuje tychże wystarczająco precyzyjnie. To właśnie prawo naturalne i Boskie określa pierwotnie, co w zakresie używania dóbr materialnych wolno czynić, a czego należy unikać. Bardzo istotnym momentem w "Quadragesimo anno" jest zaznaczenie w nawiązaniu do encykliki "Rerum novarum", że charakter własności, podobnie jak i pozostałe czynniki społecznego bytowania, nie jest niezmienny. Lecz nie oznacza to całkowitej swobody interpretacji praw - ze swej natury niezmiennych: "Zawsze bowiem musi nietykalnym pozostać naturalne prawo do posiadania prywatnej własności /.../, a państwo nie może tego prawa niszczyć".

Po Leonie XIII nastąpiły zasadnicze zmiany zarówno w życiu społeczno-gospodarczym, politycznym kapitalizmu, jak również i w ideologii marksistowskiej - w socjalizmie i komunizmie. Niezmienna pozostała natomiast całkowita sprzeczność światopoglądu marksistowskiego z personalizmem chrześcijańskim. Pius XI bardzo jednoznacznie wypowiada się przeciwko koncepcjom komunistycznym, sprzecznym z zasadami chrześcijaństwa, ukazującym szczególnie w Rosji Sowieckiej całą swą "straszliwą

brutalność i nieludzkość". Pozwolę sobie w tym miejscu zacytować słowa papieża: "świadczą o tym okropna pożoga i ruiny, którymi znaczy olbrzymie przestrzenie Europy Wschodniej i Azji. Do jakiego zaś stopnia jest nieprzyjacielem i otwartym wrogiem Kościoła i samego Boga, mówią o tym, niestety, aż nadto głośno fakty niezaprzeczone i wszystkim znane. Wobec tego dobre i wierne dzieci Kościoła nie potrzebują już przestróg z Naszej strony przed bezbożnym i niegodziwym komunizmem. Natomiast z głębokim bólem patrzymy na lekkomyślność tych, którzy zdają się nie doceniać grożących z tej strony niebezpieczeństw i ogarnięci gnuśną bezczynnością spokojnie znoszą propagandę haseł gwałtownego i krwawego przewrotu społecznego; na jeszcze cięższe potępienie zasługuje niedbalstwo podtrzymujące te warunki społeczne, które rozgoryczają umysły ludności i przez to drogę torują do przewrotu i ruiny społeczeństwa". I wobec powyższej wypowiedzi papieża pozwolę sobie po raz kolejny postawić nieco odbiegające od zasadniczego wątku tej pracy pytanie, czym tenże komunizm w swojej istocie jest? "Polski kształt dialogu" księdza Józefa Tischnera w swojej części trzeciej daje odpowiedź jednoznaczną: komunizm - czy nieco "łagodniejszy, o ludzkiej twarzy" socjalizm - jest w zasadzie, poza dążeniami mającymi na celu zniesienie własności prywatnej - całkowicie niepodlegającej kontroli władzy państwowej - ideologią w sposób pseudofilozoficzny sankcjonującą bezprawie, niszczenie ludzkiej godności i niezależności, krwawe mordy, niszczenie chrześcijaństwa w każdym jego przejawie.

Co prawda Pius XI dostrzega pewne "pozytywy" nurtu nieco łagodniejszego - socjalizmu - mówi, że walka wypowiedziana własności prywatnej przybiera formy nieco łagodniejsze i rozmiary nieco węższe, lecz stwierdza, że idea socjalizmu jest

zupełnie sprzeczna z chrześcijańskim poglądem na społeczeństwo i na społeczną naturę człowieka, "więcej, socjalizm tak wysoko stawia posiadanie jak największej ilości dóbr mogących udogonić życie, że jego zdaniem należy złożyć ofiary z wyższych dóbr człowieka nie wyjmując nawet wolności. /.../ Społeczeństwo zatem socjalistyczne, z jednej strony nie może istnieć, ani nie da się pojąć bez bardzo silnego przymusu, z drugiej zaś hołduje również fałszywej idei wolności".

Poświęcając tak dużo miejsca zagadnieniom własności w odniesieniu do socjalizmu i komunizmu, pragnę zwrócić uwagę na istotny moim zdaniem problem. Ideologiczna "baza" tych dwóch systemów - także społecznych - podejmuje walkę z osobowym charakterem własności na paru płaszczyznach. Przeczą osobowej godności i podmiotowości człowieka, osobowemu charakterowi jego pracy, pragnąc pełnego podporządkowania anonimowej zbiorowości - dąży do całkowitego pozbawienia człowieka własności - i to nie tylko w znaczeniu dóbr gospodarczych lecz również, a może przede wszystkim, w znaczeniu wyzucia człowieka z własności samego siebie, swoich niezależnych odruchów i dążeń, niezawisłości. Komunizm pragnie stać się religią /jest zresztą religią/, która wpoić ma człowiekowi zasadę jego nicości, nieistotności, szczególnie wobec kolektywu. To państwo będące źródłem i celem, nieomylne i absolutnie doskonałe, ma posiadać wszystko na własność - instrumentalnie pojmowany zaś człowiek nie może mieć na własność nawet samego siebie, własnej osobowości. Pragnę to zaznaczyć właśnie w odniesieniu do encyklik papieskich, na które patrzę z pewnej perspektywy czasowej, z tego a nie innego miejsca na ziemi. A przy tym niebezpieczeństwo, o którym mówię, ma źródło nie tyle w systemie - co w samym człowieku: wspomniany już prymat "mieć" - gdy posiadanie na własność czegokolwiek jest tak

trudne, ogromne przywiązywanie wagi do posiadania, prymat owego "posiadać" - nad "być" - choćby być panem samego siebie, mieć choćby cząstkę własnego "ja" na własność. Wiąże się to, jak sądzę, nie tylko z ekspansją systemu komunistycznego, ale co istotniejsze, z odchodzeniem od zasad chrześcijańskich, zapoznawanie podstawowych prawd wiary i przykazań bożych.

VIII

Nauka społeczna Piusa XII jest rozproszona w wielu listach pasterskich, przemówieniach i wypowiedziach okolicznościowych. W wielu z nich doniosłą rolę odgrywa problem własności indywidualnej. W przemówieniu radiowym wygłoszonym w dniu Zielonych Świąt 1 czerwca 1941 roku, na uczczenie pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia encykliki "Rerum novarum" papieża Leona XIII, Pius XII wskazuje na fakt, iż każdy człowiek "ma z natury zasadnicze prawo korzystania z dóbr materialnych ziemi", mimo iż praktyczna realizacja pozostawiona została człowiekowi. "To prawo osobiste w żaden sposób nie może być zniesione nawet przez inne prawa /.../ do dóbr materialnych. Bez wątpienia porządek naturalny pochodzący od Boga wymaga własności prywatnej". Papież zaznacza jednak, że prawo do posiadania własności prywatnej podporządkowane musi być "naturalnemu celowi dóbr materialnych, i nie może się uniezależnić od pierwszego i podstawowego prawa, które wszystkim przyznaje korzystanie z nich; ale raczej powinno służyć do umożliwienia wprowadzenia go w życie, zgodnie z jego celem. Tylko w ten sposób będzie można i będzie należało osiągnąć to, by własność i korzystanie z dóbr doczesnych przynosiły społeczeństwu owocny pokój i zabezpieczenie życia, a nie wytwarzały niepewnych warunków, rodzących walki i zazdrość, a zdanych na łaskę i niełaskę bezlitosnej gry sił i słabości".

Pierwotne prawo używania dóbr materialnych jest ściśle związane z godnością człowieka i innymi prawami osoby ludzkiej. Papież mówi, że ochrona owego prawa zapewni człowiekowi godność osobistą, ułatwi mu spełnianie w należnej mu wolności obowiązków i decyzji, za które bezpośrednio odpowiedzialny jest wobec Stwórcy.

Nawiązując do nauki "Rerum novarum" Pius XII mówi, że sama natura najściślej złączyła własność prywatną z istnieniem ludzkiej społeczności i z jej prawdziwą cywilizacją, a w wybitnym stopniu z istnieniem i rozwojem rodziny. "Czyż własność prywatna nie może zapewnić ojcu rodziny zdrowej wolności, której potrzebuje, aby mógł spełniać obowiązki wyznaczone mu przez Stwórcę, odnoszące się do dobrobytu fizycznego, duchowego i religijnego rodziny?" Własność prywatna ma przyczynić się do dobra rodziny. By tak się stało - wszystkie publiczne przepisy, przepisy państwowe powinny nie tylko umożliwiać i podtrzymywać to zadanie - lecz również coraz bardziej je doskonalić! "Byłby rzeczywiście nienaturalny ów wysławiany postęp cywilizacji, który - albo przez nadmiar świadczeń, albo przez zbytnie mieszanie się bezpośrednie - pozbawiłby sensu pojęcie własności prywatnej, odbierając praktycznie rodzinie albo jej głowie, swobodę dążenia do celu wyznaczonego przez Boga, aby udoskonalić życie rodzinne".

Pius XII przypomina za "Rerum novarum", że spośród wszystkich dóbr, które mogą stanowić przedmiot prywatnej własności - "żadne nie jest bardziej zgodne z naturą, /.../ jak gleba, własność ziemska, na której mieszka rodzina i z której owoców pobiera całkowicie albo przynajmniej w części środki do życia. I jest w duchu "Rerum novarum" twierdzenie, że zasadniczo tylko ta stałość, która opiera się o własność ziemską, czyni z rodziny najdoskonalszą i najpłodniejszą komórkę żywotną społeczeństwa. /.../ Jeżeli dzisiaj pojęcie i tworzenie

przestrzeni życiowych stanowi ośrodek zamierzeń społecznych i politycznych, czyż nie należałoby może, przede wszystkim, pomyśleć o przestrzeni życiowej dla rodziny i wyzwolić ją z więzów tych warunków, które nie pozwalają na utworzenie nawet i d e i własnej zagrody?"

W przemówieniu wigilijnym z 1942 roku, uznawanym za prawdziwą deklarację praw człowieka, manifest personalizmu chrześcijańskiego, Pius XII ujmuje podstawowe warunki pokoju społecznego. Pierwszym z nich jest zachowanie godności i praw osoby ludzkiej, kolejne to - ochrona rodziny, spoistości społecznej, zachowanie godności pracy ludzkiej. Papież postuluje - zapewnienie własności prywatnej choćby w skromnym zakresie wszystkim grupom społeczeństwa.

W orędziu radiowym 1 września 1944 roku rozwija papież Pius XII naukę Kościoła o własności. Obok potwierdzenia podstawowej prawdy, że Kościół uznaje naturalne prawo własności, przypomina, że własność prywatna stanowi naturalny owoc, cel pracy. Człowiek poprzez pracę zdobywa własność w celu zaspokojenia potrzeb zarówno swoich jak i swoich najbliższych. Papież poprzez własność - co warte podkreślenia - rozumie nie tylko potrzeby materialne, lecz także polityczne, religijne czy też kulturalne. "Nie można więc uznać za słuszny porządek społeczny, który zaprzecza w zasadzie prawu naturalnemu własności lub uniemożliwia jego praktyczną realizację /.../. Z drugiej strony jednak tam, gdzie kapitalizm opierając się na fałszywych teoriach przypisuje właścicielom nieograniczone prawa do własności i wyzwala tę własność z wszelkiej zależności od dobra społecznego, Kościół zawsze potępiał takie uroszczenia jako sprzeczne z prawem naturalnym". Pius XII, podobnie jak w swoich innych wystąpieniach, domaga się w szczególności opieki nad małą własnością rolniczą, rze-

mieślniczą czy też przemysłową lub handlową.

IX

JAN XXIII w encyklice MATER ET MAGISTRA, "O współczesnych przemianach społecznych w świetle zasad nauki chrześcijańskiej" z 15 maja 1961 roku zajmuje stanowisko wobec nowych przemian społecznych i politycznych. Jedną z cech charakterystycznych owych przemian jest silna dążność do uspołecznienia. "Wyrazem potrzeb społecznych doby dzisiejszej jest ogólny wzrost uspołecznienia. Jego przejawem jest nie tylko zwiększenie się zasięgu funkcji państwowych, ale przede wszystkim rozwój organizacji społecznych wszelkiego rodzaju /.../. Procesy te mogą przynieść wielkie korzyści społeczne i moralne, o ile niższe i wyższe społeczności z państwem na czele, będą służyć właściwie pojętemu dobru wspólnemu".

Wobec powyższego stwierdzenia rodziły się powszechne wątpliwości, czy w ówczesnym stanie rzeczy nie straciło swego znaczenia - "jedno z podstawowych założeń porządku gospodarczego i społecznego, głoszone i bronione ustawicznie przez Naszych Poprzedników. Idzie mianowicie o twierdzenie, że ludzie posiadają dane im przez samą naturę prawo prywatnego posiadania dóbr materialnych, także produkcyjnych". Jan XXIII odpowiada jednoznacznie, że "prawo prywatnej własności, także odnośnie środków produkcji, obowiązuje zawsze, gdyż zawarte jest w samym prawie naturalnym, które uczy, że poszczególni ludzie są wcześniejsi od społeczności państwowej, więc społeczność ta powinna dlatego skierować całą swą działalność ku człowiekowi jako swemu celowi. Bezcelowym by zresztą było uznawanie prawa ludzi prywatnych do wolnego działania w dziedzinie gospodarczej, gdyby się im równocześnie odmawiało uprawnienia do wolnego wyboru i użycia rzeczy niezbędnych do korzystania z tego prawa. Ponadto i prak-

tyka, i świadectwa historii dowodzą, że tam, gdzie ustrój polityczny nie uznaje prawa poszczególnych ludzi do posiadania na własność także dóbr wytwórczych, tam korzystanie z ludzkiej wolności w sprawach zasadniczych albo jest utrudnione, albo nawet całkowicie uniemożliwione. Wynika więc z tego jasno, że prawo własności stanowi gwarancję wolności i bodziec do korzystania z niej".

Jan XXIII przypomina słowa swego poprzednika, Piusa XII: "Broniąc prawa własności prywatnej Kościół zmierza do tego, by jak najlepiej osiągnąć cele moralne w życiu społecznym. Nie usiłuje on wcale bronić istniejącego porządku rzeczy, jakoby widział w nim wyraz woli Bożej, a tym bardziej nie bierze w opiekę majątków bogaczy i uprzywilejowanych, zapominając przy tym o prawach ubogich i wydziedziczonych. Prawdziwym zamiarem Kościoła jest, by instytucja własności prywatnej była tym, czym wedle zamierzeń Mądrości Bożej i wedle prawa natury być powinna". Jan XXIII konkluduje, że trzeba by własność prywatna zabezpieczała prawa osoby ludzkiej do wolności i by wnosiła swój niezbędny udział w odbudowę zdrowego ładu społecznego.

Nieco dalej papież wyraża swoje zdziwienie, że niektóre systemy filozoficzno-społeczne odmawiają naturalnego charakteru prawu własności, przyczyniającemu się do ochrony godności osoby ludzkiej, jej podmiotowości.

Mówiąc o upowszechnieniu własności Jan XXIII przypomina za Piusem XII o dwóch aspektach własności indywidualnej: 1. godność osoby ludzkiej wymaga koniecznie prawa do użytkowania dóbr materialnych, co daje możliwość posiadania choćby skromnej własności prywatnej wszystkim ludziom; 2. z drugiej strony - sama właściwa pracy godność wymaga ochrony i doskonalenia takiego ustroju społecznego, który by obywatelom wszystkich klas pozwalał na bez-

pieczne posiadanie skromnego choćby majątku.

Jan XXIII mówił, że w obecnej dobie - bardziej niż kiedykolwiek - należy dążyć do upowszechnienia własności prywatnej. Nie oznacza to jednak ani utożsamiania własności - z własnością wspólną, kolektywną czy powszechną właśnie - ani negowania podstawowego znaczenia i zasadności istnienia własności indywidualnej, ale, co należy uwypuklić, dania wszystkim ludziom możliwości posiadania ich własnej, prywatnej własności.

Charakteryzując ówczesną sytuację papież uzmysławia nam podstawową prawdę o tym, iż własnością naszych czasów jest - jak się wydaje - stałe zwiększanie się własności państwa oraz innych instytucji publicznych. Stąd też można mówić o istnieniu tak zwanej własności publicznej, którą państwu wolno zwiększać tylko w takiej mierze, w jakiej wymaga tego oczywista i prawdziwa potrzeba dobra wspólnego. Trzeba też mieć się na baczności, by nie ograniczyło to nadmiernie lub co gorsza, nie podważyło zupełnie własności prywatnej.

Kończąc omawianie encykliki "Mater et magistra" pod kątem zagadnienia własności - należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt, moim zdaniem, niezwykle współczesny. Mam na myśli to, że własność jest funkcją społeczną, co już expressis verbis powiedział Leon XIII w encyklice "Rerum novarum". Jan XXIII ujmuje to następująco: "Chociaż w naszych czasach zwiększyły się znacznie i stale ulegają rozszerzeniu zadania państwa oraz innych instytucji publicznych, nie można z tego wcale wyciągać wniosków, że - jak się to niektórym wydaje - własność prywatna straciła swe społeczne znaczenie. Ta jej społeczna funkcja czerpie bowiem swą moc z samego prawa własności".

X

Nim przejdę do zagadnień własności pomieszczonych w encyklice Jana Pawła II "Laborem exercens", które będą stanowiły zakończenie niniejszych rozważań, pragnę parę słów poświęcić zagadnieniom własności w kontekście II Soboru Watykańskiego, "KONSTYTUCJI DUSZPASTERSKIEJ O KOŚCIELE W ŚWIECIE WSPÓŁCZESNYM" - GAUDIUM ET SPES.

Oczywistością jest, że stanowisko Konstytucji Soborowej w sprawie własności ma również charakter personalistyczny. Uzasadnieniem prawa do posiadania prywatnego jest autonomia osoby ludzkiej i rodziny, własność prywatna zatem jest przedłużeniem wolności człowieka oraz warunkiem wolności społecznej: "własność prywatna lub pewne dysponowanie dobrami zewnętrznymi dają każdemu przestrzeń koniecznie potrzebną dla autonomii osobistej i rodzinnej i można ją uważać za poszerzenie niejako wolności ludzkiej. Stanowią one pewne uwarunkowania swobód obywatelskich, ponieważ pobudzają do podejmowania obowiązku i ponoszenia ciężarów."

Konstytucja "Gaudium et spes" potwierdza po raz kolejny fakt, że prawo do prywatnej własności zupełnie nie sprzeciwia się prawu mieszczącemu się w rozmaitych formach własności publicznej. Własność prywatna ma służyć jednak nie tylko właścicielowi, lecz także całej społeczności ludzkiej.

Zaznaczone na wstępie niniejszej pracy moje własne uwagi na temat szerokiego znaczenia własności, jak również podkreślenie pierwszeństwa porządku osobowego przed porządkiem rzeczy, rozgraniczenie znaczenia "mieć" i "być" - znajdują odzwierciedlenie w Konstytucji "Gaudium et spes". "Równocześnie rośnie świadomość niezwykłej godności, jaka przysługuje osobie ludzkiej, która przerasta wszystkie rzeczy, i której prawa oraz obowiązki mają charakter powszechny i nienaruszalny. Należy zatem udostępnić człowiekowi to wszystko,

czego potrzebuje do prowadzenia życia prawdziwie ludzkiego, jak: wyżywienia, odzienie, mieszkanie, prawo do swobodnego wyboru stanu i do założenia rodziny, do wychowania i pracy, do dobrej sławy i szacunku, do odpowiedniej informacji i do postępowania według słusznej normy własnego sumienia, do ochrony życia prywatnego oraz do sprawiedliwej wolności także w dziedzinie religijnej".

XI

Ukoronowaniem nauki Kościoła w kwestiach społecznych, jak również wypowiedzi papieża Jana Pawła II na tematy społeczne, jest jego trzecia encyklika, a pierwsza encyklika społeczna "LABOREM EXERCENS" przygotowana do publikacji 15 maja, a wydana w związku z zamachem na życie papieża 14 września 1981 roku - w dziewięćdziesiątą rocznicę encykliki Leona XIII "Rerum novarum".

Znamienny tytuł encykliki "Laborem exercens" - "O pracy ludzkiej" - wyraźnie zaznacza jej zasadniczy charakter. Jan Paweł II rozszerza zagadnienie z kwestii robotniczej do całego zjawiska pracy ludzkiej. Praca wyróżnia człowieka spośród innych stworzeń, jest jednym z pierwszoplanowych aspektów jego doczesnego bytowania, jest podstawowym wymiarem człowieka. Człowiek jest podmiotem pracy; celem pracy jest zawsze człowiek - nie może on być nigdy traktowany instrumentalnie, jako narzędzie produkcji. Pisząc o godności pracy ludzkiej Jan Paweł II mówi, że polega ona na tym, iż człowiek urzeczywistnia poprzez pracę samego siebie, bardziej staje się człowiekiem. Warunkiem ładu pracy jest zachowanie godności i podmiotowości pracującego. Dostrzega zarazem fakt, "że pracy można także na różny sposób używać przeciwko człowiekowi, że można go karać obozowym systemem pracy, że można z pracy czynić środek ucisku człowieka, że można

wreszcie na różne sposoby wyzyskiwać pracę ludzką, czyli człowieka pracy".

Można w tym miejscu - uzupełniając wypowiedź Jana Pawła II zacytować słowa księdza J.Tischnera pomieszczone w "Etyce Solidarności": "Praca jest wyrazem dobrej woli człowieka - kto ją wyzyskuje - godzi w samą dobroć ludzkiej woli. Wyzysk godzi w dobrą wolę człowieka w ten sposób - że nią gardzi, poniża ją i zdradza. Wyzysk jest formą zdrady człowieka".

Z zagadnieniem pracy ściśle powiązane jest zagadnienie własności. W nauce społecznej Kościoła własność nigdy nie była rozumiana jako społeczne przeciwieństwo pracy. Własność - ma służyć ludzkiej pracy. Jan Paweł II przypominając encykliki "Rerum novarum" o "Mater et magistra" potwierdza naukę Kościoła o prywatnej własności również w kwestii środków produkcji. Papież zaznacza, że nauka Kościoła w tej kwestii różni się zasadniczo od programowych, kolektywistycznych założeń ideologii społecznej marksizmu. Jednocześnie dodaje, że "tradycja chrześcijańska nigdy nie podtrzymywała tego prawa jako absolutnej i nienaruszalnej zasady. Zawsze rozumiała je natomiast w najszerszym kontekście powszechnego prawa wszystkich do korzystania z dóbr całego stworzenia: prawo osobistego posiadania jako podporządkowane prawu powszechnego używania, uniwersalnemu przeznaczeniu dóbr". Własność - nabywana jest przede wszystkim przez pracę po to - by służyła pracy, a odnosi się to w sposób szczególny do własności środków produkcji. "Nie mogą one być posiadane wbrew pracy, nie mogą też być posiadane dla posiadania, ponieważ jedynym prawowitym tytułem ich posiadania - i to zarówno w formie własności prywatnej, jak też publicznej czy kolektywnej - jest, ażeby służyły pracy. Dalej zaś: ażeby służąc pracy, umożliwiały realizację pierwszej zasady w tym

porządku, jaką jest uniwersalne przeznaczenie dóbr i prawo powszechnego jej używania".

Nauka Kościoła o własności stara się - jak to ujmuje Jan Paweł II - zagwarantować prymat pracy, a przez to samo właściwą człowiekowi podmiotowość w życiu społecznym. Sądzę, że nie będzie wypaczeniem myśli papieskiej, gdy przypomnę moją własną początkową uwagę - o przydaniu poprzez osobowość i podmiotowość istoty ludzkiej także i własności - w szerokim rozumieniu - pewnych cech podmiotowych. Z punktu widzenia podmiotowości człowieka, w dynamicznej strukturze całego procesu ekonomicznego "nadal pozostaje rzeczą nie do przyjęcia stanowisko 'sztywnego' kapitalizmu, który broni wyłącznego prawa własności, prywatnych środków produkcji jako nienaruszalnego 'dogmatu' w życiu ekonomicznym". Jan Paweł II przestrzega jednak przed inną skrajnością - marksistowską koncepcją kolektywizacji. "Jeśli więc stanowisko sztywnego kapitalizmu w dalszym ciągu domaga się rewizji w celu dokonania reformy pod kątem jak najszerzej rozumianych praw człowieka związanych z jego pracą, to z tego samego punktu widzenia należy stwierdzić, że owych tak bardzo pożądanych i wielorakich reform nie można dokonać przez apriorycznie pojętą likwidację własności prywatnej środków produkcji. Wypada bowiem zauważyć, że proste odebranie owych środków produkcji /kapitału/ z rąk ich prywatnych właścicieli, nie jest wystarczające do ich uspołecznienia w sposób zadowalający. Środki te przestają być prywatną własnością pewnej grupy społecznej - właśnie owych prywatnych posiadaczy, aby stać się własnością zorganizowanego społeczeństwa i podlegać pod bezpośredni zarząd i wpływ pewnej grupy osób - tych mianowicie, które mimo że ich nie posiadają na własność, lecz sprawując władzę w społeczeństwie dysponują nimi na skalę gospodarki całego społeczeństwa lub też w skali bar-

dziej lokalnej". Grupa zarządzająca i dysponująca - o czym wielokrotnie mogliśmy się przekonać nawet w Polsce - może wywiązywać się z powyższych zadań źle - "broniąc równocześnie dla siebie monopolu zarządzania i dysponowania środkami produkcji, i nie cofając się nawet przed naruszaniem owych zasadniczych praw człowieka. Tak więc samo przejęcie środków produkcji na własność przez państwo o ustroju kolektywistycznym nie jest równoznaczne z "uspołecznieniem" tejże własności. O uspołecznieniu można mówić tylko wówczas, kiedy zostanie zabezpieczona podmiotowość społeczeństwa, to znaczy, gdy każdy na podstawie swej pracy będzie mógł uważać siebie równocześnie za współgospodarza wielkiego warsztatu pracy, przy którym pracuje wraz ze wszystkimi".

Nie sposób w kontekście powyższych słów nie wspomnieć o pewnej iluzji, którą tak trafnie ujął J.Tischner w "Etyce Solidarności": iluzja polega na wierze, iż wspólne posiadanie drzew jest dostateczną gwarancją wspólnego owocu. I myślę, że spore grono już nie tylko głównych przedstawicieli ideologii komunistycznej - co ludzie wprowadzający konkretne założenia kolektywistyczne w życie, jak również ludzie przyjmujący takie rozwiązanie jako jedynie słuszne - ulegają tego rodzaju iluzji. Zadziwiająca jest wiara w marksistowską ideologię - tu w Polsce szczególnie; wiara ta trwa nadal mimo permanentnych katastrof społecznych, począwszy od 1956 roku, poprzez lata 1968, 1970, 1976 i ostatnie wydarzenia począwszy od grudnia 1981 roku.

W kontekście słów Papieża-Polaka należało przypomnieć owo "nie cofanie się władzy" przed ewidentnymi morderstwami, przed wypowiedzeniem wojny własnemu narodowi.

Zamykając rozważania na temat własności pragnę zacytować wypowiedź Jana Pawła II zawartą w oma-

wianej encyklice - odnoszącą się bezpośrednio do przemian w świecie współczesnym, przypominającą o pewnych nienaruszalnych prawach osoby ludzkiej, a zarazem będącą ostrzeżeniem skierowanym do wszystkich chrześcijan.

"Jeżeli przyjmujemy, że z różnych uzasadnionych motywów mogą istnieć wyjątki od zasady własności prywatnej - co więcej, jeśli w naszej epoce jesteśmy świadkami wprowadzania w życie ustroju własności 'uspołecznionej' - to jednak argument personalistyczny nie traci swej mocy zarówno zasadniczej, jak i praktycznej. Każde celowe i owocne uspołecznienie środków produkcji musi uwzględniać ten argument. Należy uczynić wszystko, ażeby człowiek również i w takim systemie mógł zachować poczucie, że pracuje 'na swoim'. W przeciwnym razie muszą powstać w procesie ekonomicznym nieobliczalne straty - i to nie tylko straty ekonomiczne, ale przede wszystkim s t r a t y w c z ł o w i e k u".

Jacek Zamorski

Armenia: Biologiczna zagłada

"Soviet Nationality Survey" /1/87/ opublikował list opisujący dramatyczną sytuację ekologiczną w Armenii. List ten datowany 31 marca 1986 i adresowany do Gorbaczowa podpisało 350 armeńskich naukowców, twórców, inżynierów i studentów. List jest bardzo długi, przytaczamy zeń ważniejsze fakty:

Republika Armeńska ma powierzchnię i ludność mniej więcej dziesięciokrotnie mniejszą niż Polska. 1/3 ludności mieszka w ponad milionowym Erewaniu, a drugie tyle w wąkiej, długiej dolinie rzeki Araks.

Nad Erewaniem przez 165 dni w roku wisi smog. Biorąc pod uwagę standardy międzynarodowe dawno należałoby ewakuować ponad pół miliona mieszkańców dzielnic przemysłowych. Z siedmiu najbardziej zanieczyszczonych miast ZSRR pięć leży w Armenii. W miastach tych poziom tlenków siarki, azotu, tlenku węgla, jonów rtęci, ołowiu, chlorkowych i innych przekraczają dozwolone limity dziesięć, sto, a czasem tysiąc razy. Erewańska fabryka środków chemicznych, druga co do wielkości w ZSRR, wytwarza 135 rodzajów silnych pestycydów obok setek innych związków chemicznych.

Armenia w ZSRR ma najwyższą częstotliwość zachorowań na raka płuc, gardła, żołądka i inne nowotwory złośliwe. W mieście Oktemberian, koło którego znajduje się elektrownia atomowa, roczna śmiertelność na raka wynosi 190 osób na 10 tys., w Erewaniu - 170, w kilku innych miastach - 130. Dane oficjalne są zaniżane co najmniej pięciokrotnie, ale i tak wykazują czterokrotny wzrost zachorowań na raka w ciągu ostatnich 20 lat. Poza tym, w ciągu 15 lat pięciokrotnie wzrosła częstotliwość występowania upośledzeń umysłowych u dzieci, liczba chorych umysłowo - sześciokrotnie, częstotliwość defektów genetycznych i poronień - siedmiokrotnie, a zawałów serca - ośmiokrotnie.

W przemysłowych dzielnicach Erewania i w pobliżu elektrowni atomowej 50% ciąży kończy się albo poronieniem, albo urodzeniem dziecka z wadą genetyczną.

Elektrownia atomowa Mecamor 23 km od Erewania, tego samego typu, co w Czernobylu, od dawna spędza sen z powiek naukowcom armeńskim. Gdyby wybuchła, trwałemu skażeniu uległaby cała Armenia. Aktywność sejsmiczna jest tu bardzo wysoka, trzęsienia ziemi osiągają 5-9 stopni w skali Richtera, jest 40 kraterów wulkanicznych. Elektrownię zbudowano na przecięciu kilku uskoków tektonicznych /!/, o czym geolodzy daremnie ostrzegali. Pod uwagę brano tylko wygodę budowy /płaski teren/ i dostępność siły roboczej /miasto Oktembrian/. Sama lokalizacja elektrowni jest więc faktem kryminalnym. W ciągu ostatnich 10 lat w elektrowni wydarzyło się 150 poważnych wypadków - uwolniły się duże ilości radioaktywnej wody i gazu. W latach 1980-85 Armenia trzykrotnie cudem uniknęła totalnej katastrofy. M.in. w jednym przypadku zaczęły się palić kable sterowania reaktorem i turbiną umieszczone w tej samej obudowie co kable energetyczne. Taki sposób konstrukcji jest zakazany w elektrowniach konwencjonalnych "od zawsze". Nie uniknęła jednak katastrofy lokalnej. Elektrownia stoi w miejscu, gdzie wody wsiąkają w ziemię i przedostają się do artezyjskiej warstwy wodonośnej. W tej warstwie rozprzestrzeniają się wzdłuż doliny araracklej, gdzie leży 70% ziemi uprawnej i tysiące studni artezyjskich wydobywa wodę do celów rolniczych. Studnie te już są silnie skażone, lokalnie zakazano zbierania niektórych owoców, np. truskawek. Ogólnie jednak fakt skażenia jest skrupulatnie ukrywany.

Nie skutkują żadne przestrogi i apele. Planuje się budowę następnego reaktora i ogromnego składowiska odpadów radioaktywnych. Jeśli te plany zostaną zrealizowane, pod Araratem może się wydarzyć

katastrofa na miarę biblijnego potopu, tylko że tym razem żadna arka nie pomoże...

Jak to zwykle w komunizmie elektrownia w Oktemberian nie ma żadnego uzasadnienia ekonomicznego. Konwencjonalne źródła energii mogłyby jej dostarczyć co najmniej 2 razy więcej, obecnie marnuje się 60% potencjału hydroenergetycznego a i tak energię eksportuje się do Turcji. Ponadto istnieją doskonałe warunki dla spożytkowania energii słonecznej i siły wiatru.

Autorzy listu piszą: "To, co się dzieje w Armenii, to jest masakra biologiczna w dosłownym sensie".

Naukowcy żądają: zamknięcia fabryki aluminium, fabryki pestycydów, fabryki witamin i spółdzielni "Poliwinylacetat" w Erewaniu, kilku fabryk i kopalni w innych miastach /kilkakrotnie już uchwalano rezolucje partyjne o ich zamknięciu - bez skutku/; natychmiastowego zamknięcia elektrowni atomowej i jej rozebrania, a także zakazu inwestowania w ten obiekt; zwiększenia nakładów na lecznictwo; powołania międzynarodowej komisji dla zbadania stanu środowiska w Armenii. Domagają się także ukarania winnych, a wśród nich przewodniczącego Wszechzwiązkowej Komisji do Spraw Energii Atomowej - Petrosjanca /Ormianin!/, ministra zdrowia Armenii, wiceprezydenta Armeńskiej Akademii Nauk, dyrektora Instytutu Nauk Geologicznych.

/przedruk za KOS nr 6/87/

Zagadka literacka

Drukujemy poniżej wartką i trzymającą w napięciu relację z pewnej wojny. Dokonaliśmy w niej pewnych niewielkich skrótów i zmian zacierających tło. Zadaniem Czytelników jest danie odpowiedzi na pytanie, gdzie toczy się ta wojna i w jakiej gazecie ukazała się ta relacja. Odpowiedzi prosimy przesyłać przez kolporterów. Nagrodą będzie książka - niespodzianka.

"W nocy z 8 na 9 miesiąca OL banda ozańskich gladiatorów, która przeprawiła się przez rzekę BOO dokonała napaści na nipuański oddział graniczny ochraniający odcinek granicy nipuańsko-ozańskiej w odległości 50 km od miejscowości A. Korespondent CDN - Ban Gan odwiedził niedawno ten odcinek granicy...

...Śmigłowiec wojsk pogranicza Nipuanu lekko oderwawszy się od ziemi wziął kurs na wschód, w górę rzeki BOO, środkiem której biegnie nipuańsko-ozańska granica. W dole powoli przesuwają się głębokie wąwozy, do samego brzegu rzeki podchodzą niemal pionowe ściany. Tak wygląda brzeg nipuański. Na ozańskim brzegu, nieco mniej stromym tu i ówdzie widać rozrzucone osady. Zielenią się pola uprawne. W czasie, gdy lecimy do miejsca wydarzenia, proszę dowódcę oddziału wojsk pogranicza - pana An-Ga, by opowiedział, co się wówczas wydarzyło.

- Nasz wzmocniony oddział wojsk ochrony pogranicza dowieziony został do tego trudno dostępnego rejonu 4 OLa na cztery doby. Naszym zadaniem była kontrola i przerwanie nielegalnego przekraczania granicy Nipuanu. Żołnierze wojsk ochrony pogranicza rozbili tutaj swój obóz, wystawili posterunki i rozpoczęli wykonywanie zadania. Nie mogliśmy jednakże zabrać ich z patrolowanego miejsca w określonym czasie, ponieważ gwałtownie załamała się

pogoda. Padał ulewny deszcz i odwołano wszystkie loty śmigłowców. Właśnie to wykorzystali bandyci ozańczyka "Inżyniera". 8.OLa, wieczorem w dwóch grupach na wschód i zachód od ozańskiej osady Mur bandyci pod osłoną nocy przeprawili się na tratwach przez BOO. Później zaczęli po cichu otaczać nasz oddział, podchodząc na sąsiednie wzgórze z flanki i od tyłu. Manewr ten udał się. Padał ulewny deszcz i widoczność nie przekraczała 4-5 metrów. Gladiatorzy zdołali ustawić trzy karabiny maszynowe i granatniki wycelowane w naszych żołnierzy. Przygotowywali się do ataku, ale o godzinie 0.45, zostali odkryci przez pana A-Kur, stojącego na warcie. Zdążył on dać sygnał alarmowy, oświetlił rakietą sygnalizacyjną teren walki i jako pierwszy otworzył ogień. Dzięki niemu bandytom nie udało się zaskoczyć naszego oddziału. Gladiatorzy zostali odparci, mimo iż mieli trzykrotną przewagę w ludziach i uzbrojeniu. Walka trwała niemal dwie godziny.

Potem bandyci zaczęli się wycofywać pozostawiając na brzegu BOO zabitych i rannych.

...Po pół godzinie dolecieliśmy do miejsca potyczki nipuańskich żołnierzy z wojsk ochrony pogranicza z ozańskimi bandytami. W niewielkich okopach zobaczyłem grupę nipuańskich wojsk ochrony pogranicza i pan An-Ga poznał mnie z jednym z nich, który brał udział w tej walce. Proszę go, aby o tym opowiedział: "Gladiatorzy kilka razy próbowali wziąć szturmem nasz oddział, ale im się to nie udało. Wszyscy nasi żołnierze odznaczyli się męstwem, sprytem, wytrwałością. W wyniku walki gladiatorzy stracili 14 osób, kilku napastników zostało rannych. Wzięliśmy jednego jeńca. Nasze straty to dwóch zabitych i trzech rannych. Bandytom nie udało się zniszczyć naszego oddziału".

Pytam pana An-Ga: czy mogę zobaczyć jeńca?

- Wkrótce po zakończeniu walki przekazaliśmy

rannego bandytę władzom Ozanu.

...I oto śmigłowiec znów przenosi mnie na terytorium Ozanu. W powiatowym centrum wita mnie dowódca roty. "Naszą rotą oraz oddziały armii ózańskiej - mówi - prowadzą obecnie operację mającą na celu ostateczną likwidację bandy "Inżyniera". Operacja prowadzona jest w trudno dostępnym rejonie.

- Jaki cel wyznaczyli sobie bandyci? - Bandyci najwyraźniej liczyli na to, że nipuańskie wojska ochrony pogranicza zaatakują w odwecie ozańskie osady przygraniczne a to zmusi ich mieszkańców do porzucenia swych domostw i ucieczki. Tak się nie stało. Zresztą nie ruszamy osad."

W tym momencie do pokoju wprowadzono pojmanego jeńca - ozańskiego gladiatora. Nazywa się Mu-Aj, syn As-Mu.

"W początkach OLa - mówi Mu-Aj - powiedziano nam, że będziemy przygotowywać się do ataku na nipuańskie wojska ochrony pogranicza. Przygotowywaliśmy się do tego po cichu. Obserwowaliśmy żołnierzy nipuańskich. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się ich zaskoczyć, ale nie udało się. Kiedy wycofywaliśmy się, dostałem postrzał w lewe biodro. Nasi porzucili mnie na nipuańskim brzegu. Na krótko przed atakiem w bandzie pojawili się instruktorzy zagraniczni. Oni to właśnie kierowali przygotowaniami".

Mu-Aj był bardzo zdziwiony, że nipuańscy żołnierze wzięli go do niewoli, a nie zastrzelili na miejscu. "My nie robimy tak - na rozkaz "Inżyniera" od razu rozstrzeliwujemy jeńców".

Po wyprowadzeniu Mu-Aj proszę dowódcę, by powiedział nieco więcej o bandzie. Liczy ona około tysiąca osób. Jest znana z okrucieństwa: ostrzeliwuje osady, zabija przedstawicieli władzy państwowej, nauczycieli, aktywistów FEN-u.

Naszą rozmowę przerwał warkot śmigłowców. Wyszliśmy na ulicę. Ponad naszymi głowami przeleciało kilka maszyn ze znakami rozpoznawczymi ozańskiej armii - leciały z bombami w kierunku wąwozu, w którym ukrywa się "Inżynier" ze swymi ludźmi. "Wkrótce i my ruszamy - mówi Mu-Ew, ściskając mi rękę na pożegnanie".

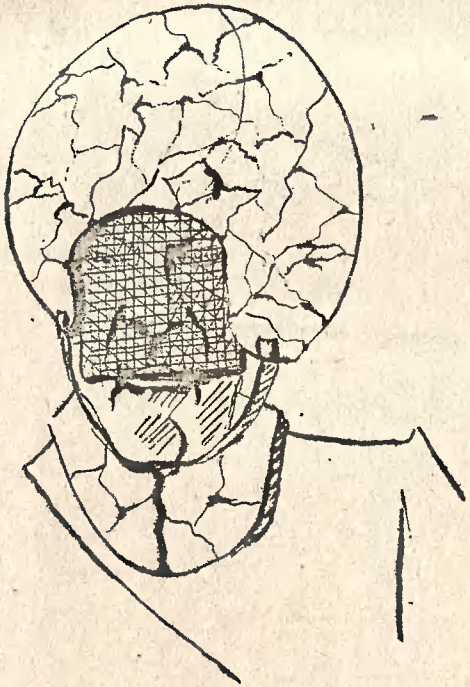

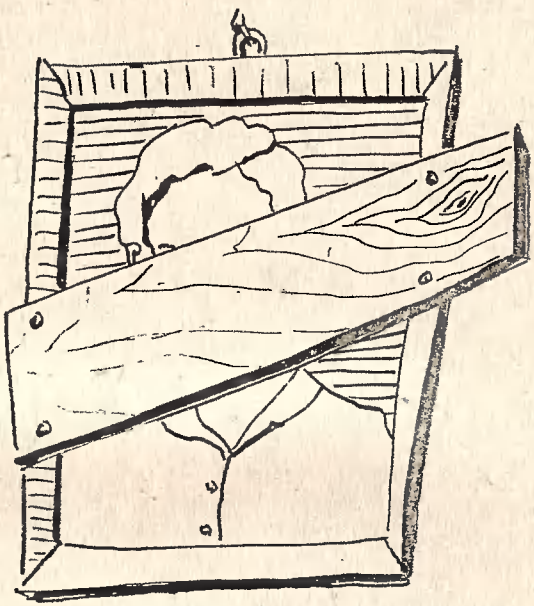

Jeżewo — podzwonne dla Glogerów

Na przełomie XVII/XVIII w. powstał w Jeżewie folwark należący do królewskich dóbr tykocińskich, który już w początkach XVIII w. zastawiono. Od lat 30-tych XVIII stulecia pozostawał on w rękach chorążego bielskiego Marcina Kuczyńskiego, który wzniósł tu murowany pałac, założył ogród o barokowej kompozycji i przebudował system komunikacyjny miejscowości, tworząc na osi pałacu węzeł promieniście zbiegających się dróg. Węzeł ten przebudowano przed 1841 r. i do dziś jest on jednym z ważniejszych w północno-wschodniej Polsce.

Po Marcinie Kuczyńskim majętność przeszła we władanie jego bratanicy, żony Michała hr. Starzeńskiego, którego syn - Maciej wykupił dobra jeżewskie na własność.

W latach 1831-1859 należały one do Kajetana Sosnowskiego, od którego nabył je Jan Gloger /ur. 1811 - zm.1884/, powstaniec 1830 i 1863 r., znany sadownik, hodowca popularnej odmiany jabłoni zwanej od jego nazwiska glogierówką, mąż Michaliny z Wojnów /ur. 1820 - zm.1905/, przewodniczącej /w latach 1863-1864/ Łomżyńskiego Komitetu Opieki Narodowej.

W odwecie za udział Jana i Michaliny w Powstaniu Styczniowym zniszczono siedzibę jeżewską - w tym osiemnastowieczny pałac i otaczający go ogród ozdobny.

Nowy dwór Glogerów stanął więc wśród sadów pałacowych, które wkrótce przyozdobiono i wokół których powstały szkółki sadownicze, budynki gospodarcze i kompleks zabudowań browaru.

Od 1872 r. gospodarzył w Jeżewie syn Jana - Zygmunt Gloger /ur.1845 - zm.1910/, znany badacz przeszłości, archeolog, etnograf i kolekcjoner. Zgromadził on bogate zbiory historyczne, archeologiczne

i sztuki ludowej oraz obszerny księgozbiór. Na potrzeby biblioteki zaadoptowano budynek rządcy browaru, a cenne zbiory umieszczono w lamusie i w ogrodzie, gdzie spacerując mogli je podziwiać liczni goscie. Jeżewo stało się bowiem centrum ożywionej działalności kulturalnej, a bywali tu m.in. Henryk Sienkiewicz, Oskar Kolberg, Narcyza Żmichowska, Joachim Bartoszewicz, Zygmunt Noskowski i Michał Federowski.

W 1905 r. Zygmunt Gloger przeniósł się do Warszawy, gdzie też zmarł pozostawiając Jeżewo jedynemu synowi - Stanisławowi. Cenne zbiory zostały przekazane do muzeów Warszawy i Krakowa.

W czasie I wojny światowej siedziba jeżewska legła w gruzach i w 1916 r. została sprzedana Julianowi Piętce. W okresie międzywojennym wśród szczątków ogrodu stały jeszcze dwór Glogerów i kilka innych budynków dworskich. Już przed 1939 rokiem teren dawnej siedziby został podzielony między dwie rodziny, a po wojnie zajęły go liczne zagrody, budynki GS i budynki Zespołu Szkół Rolniczych. Część dawnego ogrodu zamieniono na łąki lub pola uprawne.

Pomiędzy nową zabudową znikły ruiny budynków dworskich i odarty z ozdób stary lamus. O dawnej sławie Jeżewa zapomniano by pewnie doszczętnie, gdyby nie funkcjonujący do 1957 r. browar stanowiący jedną z atrakcji widokowych na trasie Białystok - Warszawa.

W 1957 r. został opuszczony, a następnie podczas przelewającego się pustosłowia o konieczności ochrony i remontu zawalił się i od roku 1980 straszą już tylko zrujnowane ściany, z roku na rok coraz niższe i mniej widoczne.

Jeśli zaś chodzi o tradycję i pamięć Narodu to zabezpiecza ją teraz skutecznie stojąca na rozdrożu "nowoczesna" wielka knajpa "Pod Glogierówką" - Mekka miejscowych dusz spragnionych i miejsce postoju /nieco mniej żądnych "wzniosłych" doznań/ kierowców.

PAC

Gustaw Herling – Grudziński

Czy można pisać o komunizmie dla ludzi, którzy go na codzień doświadczają i odrzucają /skoro biorą do ręki nielegalne pismo/? Czy takim ludziom można powiedzieć jeszcze coś nowego?

Te i inne wątpliwości dręczą redaktora niniejszej rubryki. Odpowiedź na te pytania jest w zasadzie pozytywna /skoro tekst się ukazuje/. Jest bowiem jeden ważny powód, dla którego warto drążyć ten problem. Komunizm jest w dziejach czymś wyjątkowym, choć nie jedynym. Wyjątkowym poprzez połączenie zła i fałszu w takim natężeniu i wymiarze. Dlatego też wymyka się większości ludzi, którzy o nim piszą. Stąd ta rubryka w naszym piśmie. Po "diabelskiej" interpretacji Wata kolej na inne spojrzenie. Można je w przybliżeniu nazwać moralistycznym. Jego nosicielem Jest Gustaw Herling-Grudziński, pisarz emigracyjny, zamieszkały od czasu wojny w Neapolu. Jego życie dorosłe, jak wielu podobnych z pokolenia 1920 zaczęło się w sowieckich łagrach. Plonem tych doświadczeń jest "Inny świat" - historia człowieka próbującego rozpaczliwie uchronić własne człowieczeństwo, godność i honor. Ta optyka przenika całe pisarstwo Herlinga-Grudzińskiego, a zwłaszcza "Dziennik pisany nocą" publikowany na łamach paryskiej "Kultury" od 1971 roku, z którego zaczerpnęliśmy poniższe fragmenty. Sam "Dziennik" jest czymś wyjątkowym i trudno by go było w kilku zdaniach opisać. Jedno wszakże wydaje się być pewne. Punkt widzenia człowieka obserwującego dzieje głupoty i mądrości. Ponieważ komunizm jest w naszym XX wieku jednym z "przeklętych problemów", więc sporo o nim w "Dzienniku". Drukujemy trzy rozbudowane refleksje, a nie wybór z całości /ukazały się drukiem trzy tomy: T.1. - 1.1971-72, T.II - 1.1973-79, T.III - 1. 1980-83/, choć mieliśmy taką chęć, z jednego ważnego powodu. Większość

zapisków Herlinga-Grudzińskiego stanowią zminiaturyzowane opowiadania, z których trudno jest wybrać coś "ze środka". Myśl autora krąży wokół problemu oświetlając go z różnych stron, docierając wszakże do sedna. Moim zdaniem. Czytelnik wyrobi sobie własne. Życzę przyjemnej lektury i zachęcam do sięgnięcia po całość /"NOWA" wydała tom II, inne tomy w wydaniu Instytutu Literackiego/, a także opowiadanie "Wieża" w miesięczniku "W drodze" nr red. 3/1987.

x x x

"Od lat wydaje mi się bezsensowne "rozróżnienie" między komunizmem, hitleryzmem i faszyzmem; bezsensowne i szkodliwe, jeśli totalitarna "choroba naszego stulecia" ma nas przynajmniej czegoś nauczyć. /.../ Twierdzi się zazwyczaj, że naziści i faszyści wypełnili swoje powołanie nacjonalistyczno-rasistowskie, podczas gdy komuniści zdradzili swoje powołanie uniwersalistyczne.

Otóż /zauważa Le Roy Ladurie/ totalitaryzm nacjonalistyczno-rasistowski był znacznie bardziej uniwersalistyczny, a komunizm jest znacznie mniej uniwersalistyczny,niż się na ogół przypuszcza. "Dystans między ideologiami kurczy się nie znikając całkowicie". Całkowicie przekreśla go prosta i dosadna forma "gangsteryzmu /nie gangsterstwa, bo mamy do czynienia z systemem/ politycznego".

x x x

"- Nowa książka Zinowiewa "Świetlana przyszłość", pod pewnymi względami wybitniejsza może nawet od jego "Przepastnych wyżyn", wywołuje w trakcie lektury reakcję jakby dwutaktową. Najpierw odruch: "Oczywiście, nic szczególnie odkrywczego". I zaraz potem: "A jednak niezwykłe, nikt dotąd tyle i tak nie powiedział". Jak to się dzieje? Chodzi tylko o dar syntezy, o umiejętność zobaczenia komunizmu w jego pełnym wyrazie, o zdolność utrafienia w sedno zjawisk widzianych przedtem w sposób zbyt fragmentaryczny, oderwany od całości?

- Zapewne, ale nie wystarczyłoby to by "Świetlaną przyszłość" uznać za książkę przełomową, za książkę otwierającą następny etap. Zestawienie z Sołżenicynem, na pierwszy rzut oka niedorzeczne, pozwala uchwycić doniosłość Zinowiewa. Sołżenicyn opisuje represyjność systemu, krwawą maskę nałożoną przez rewolucję społeczeństwu podbitemu i ujarzmionemu. Zinowiew, jak w noweli Maxa Beerbohma o masce, która na swoje podobieństwo kształtuje rysy twarzy, odsłania "przerażającą normalność" systemu. Oto czym jest komunizm jako forma życia zrzeszonego, oto jakie jest sowieckie społeczeństwo komunistyczne. Nie traćcie czasu na rozważania, czy urzeczywistniło zasady marksizmu-leninizmu. Urzeczywistniło. Przyjmijcie więc, że tak wygląda "ideologia" wprowadzona w życie. I zajmijcie się tym życiem, które ucieleśniło "ideologię", jako społeczeństwem nowego typu. Taki byłby początek poznania komunizmu realnego, jego "przerażającej normalności". Kto poprzestaje na wskazywaniu zbrodni systemu - procesów, prześladowań, więzień, łagrów, mordów, deportacji - zakłada tym samym, że gdzieś w głębi istnieje inna realność pogwałcona i zdławiona. Jest oskarżycielem, zasługuje na podziw i respekt; ale nie mówi całej prawdy, Cała prawda wymaga założenia, że powstało społeczeństwo oparte na zasadach odmiennych od wszystkiego co przywykło się uważać za podstawę ludzkiej cywilizacji. Powstał człowiek sowiecki, "gatunkowo" różny od ludzi żyjących poza granicami Imperium. Chociaż akcja drugiej książki Zinowiewa rozgrywa się w Moskwie lat 70-tych, w cieniu odlanego ze stali gigantycznego sloganu "Niech żyje komunizm świetlana przyszłość ludzkości!", w tle trwa półimaginacyjny Ibańsk ze swoim "socyzmem". Zinowiew posiada talent destylowania czystej, niemal wzorcowej postaci rzeczy z powszedniej, codziennej rzeczywistości. Jest realistą moralistycznym, na pograniczu spraw ostatecznych. Wyobraźmy

sobie, jeżeli to w ogóle możliwe, skrzyżowanie kafkowskiego Józefa K. ze swifstowskim Gulliverem.

- W kluczowej, a w każdym razie bardzo ważnej, rozmowie Zimina z synem Narratora pada zdanie o "wulgarnym" wyjaśnieniu istoty komunizmu. Interpretacja "wulgarna" polega na tym: komunizm jest aplikacją "socjalności" nagiej, praw "socjalnych" ludzkiego postępowania w kolektywie pozbawionym sztucznych ograniczeń i hamulców cywilizacji /tradycyjnych obyczajów, moralności, prawa, religii, własności, sztuki/. Właśnie tutaj, w wykładzie Zimina na użytek młodego studenta moskiewskiego, pojawia się twierdzenie, że Sołżenicyn w swojej krytyce marksizmu i poszczególnych faktów /darujmy Ziminowi eufemizm!/ życia sowieckiego nie dostrzega "przerażającej normalności" komunizmu. Wulgarne czy raczej banalne po prostu, to twierdzenie podpiera się równie banalną na pozór formułą: "socjalizm jest przede wszystkim zburzeniem tworów cywilizacji - które u nas nazywają instytucjami klasowego społeczeństwa wyzysku - i stworzeniem warunków umożliwiających odgrywanie decydującej roli prawom życia kolektywnego". Formuła banalna na pozór; a czuje się w niej przecież głęboką i sprawdzoną w doświadczeniu prawdę, z której niewiele sobie robią mistrzowie "ideologicznego" przelewania z pustego w próżne, "naukowi" kapłani marksizmu-leninizmu. Zinowiew, dramatyzując pozorną banalność, dociara do korzeni systemu.

- Jak żyją ludzie zajęci wyłącznie walką o byt, w ramach nagiej "socjalności" kolektywu, uwolnieni od wszelkich hamulców cywilizacyjnych? Z tego uwolnienia rodzi się niewola prymitywnych praw zwierzęcych: kto kogo? W "Świetlanej przyszłości" mowa wprost o komunizmie i socjalizmie, ale oba terminy są tak zużyte i wytarte w debatach "ideologiczno-doktrynalnych", że lepiej chyba pamiętać o "socyzmie" z "Przepastnych wyżyn", o genialnym wyna-

lazku ibańskim z jego posmakiem ironicznej alegorii, z jego funkcją wyznacznika sytuacji zerowej. Zinowiew, także w "Świetlanej przyszłości", ma wzrok wyostrzony na sytuację zerową, na to co się kryje za parawanem tekstów, słów, haseł, przemówień. Jest podobny do Swifta: Gulliver w krainie Yahoo; dziekan katedry świętego Patryka w Dublinie, który w "Skromnej propozycji" radzi z nieodpartą logiką zabijać i zjadać dzieci irlandzkie, dla przeciwdziałania rosnącej na wyspie nędzy, dla wprowadzenia regulacji urodzin i /dodatkowo/ dla przetrzebienia szeregów "papistów". W jednym i w drugim przypadku zabieg imaginacyjny Swifta sprowadza ludzi do poziomu przedcywilizacyjnego, pokazuje czym są lub mogą być bez hamulców. Zinowiew nie musi sobie zanadto pomagać wyobraźnią, jest kronikarzem namacalnego, stosowanego hic et nunc "socyzmu", konsekwentnego i codziennego pochodu ku "przepastnym wyżynom" i "świetlanej przyszłości" w społeczeństwie wyzutym programowo z osobowości ludzkiej.

- Zgoda na Swifta. Ale skąd Kafka?

- Kiedy Zinowiew pisze w swojej formule socjalizmu o "stworzeniu warunków, umożliwiających odgrywanie decydującej roli prawom życia kolektywnego", dodaje natychmiast że "rozbudowany jest ogromny aparat władzy, który przylega ściśle do tych warunków". Między "socjalnością" elementarną kolektywu, zepchniętą w szranki "kto kogo?", i ogromniejącą wciąż Władzą nie ma komunikacji innej poza jednokierunkowym, z góry w dół, wydawaniem rozkazów, zakazów, wyroków. Kafkowska samotność człowieka wobec sił wyższych, w obliczu nieosiągalnej i nieprzenikalnej Władzy, nie ma naturalnie u Zinowiewa charakteru metafizycznego. Zinowiew opisuje "jednostkę społeczną, którą społeczeństwo urabia wbrew jej woli", a nie "osobowość jaką człowiek staje się z własnej woli i wbrew społeczeństwu". Ale tkwi coś z ducha Kafki w nie-

skończonym dystansie, dzielącym zinowiewowskiego "soczeka" od Zamku Władzy; w Metamorfozie gatunku, która ludzką osobę zamienia w "jednostkę społeczną"; i w nieustannym Procesie, zawieszonym nad głową każdego "soczeka" przez Trybunał Władzy. Ekskluzywna "socjalność" kolektywu skazuje bohaterów Zinowiewa na bezgraniczną samotność społeczną.

- Córka Narratorą odbiera sobie życie, dowiedziawszy się przypadkiem, że jej ojciec zadenuncjował niegdyś Zimina. Młoda dziewczyna łamie, suwerennym gestem, "prawa życia kolektywnego": samobójstwo jest skrajną i jedyną zarazem formą afirmacji osobowości w społeczeństwie bez hamulców. Obok zbuntowanej i rozgadanej Lenki przemyka się ukradkiem w "Świetlanej przyszłości", niby epizodycznie lecz z ekspresyjnością żywego symbolu, milcząca Pijana Staruoha. Narrator widuje ją niekiedy z okna swego mieszkania, pochłoniętą zbieraniem odpadków i starych łachów, obojętną na otoczenie, popychającą na oślep przed siebie śmieciarski wózek. "Gdy widywałem Pijaną Staruchę lub myślałem o niej, ogarniało mnie takie uczucie jak gdybym zapomniał o czymś bardzo ważnym, w żaden sposób nie mogąc sobie przypomnieć o czym mianowicie". Motyw niezmiernie istotny w "Świetlanej przyszłości", skoro zamyka książkę. "A jednak zbudujemy komunizm" - mówi do siebie głośno na ulicy Narrator, rozbity śmiercią córki i porażkami osobistymi. "Przestraszyłem się, że przechodnie spojrzą na mnie drwiąco. Ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Taszczyłem mój bezsensowny wózek obok nich, wśród nich, w jakimś nieistniejącym dla mnie przekroju bytu. Dokąd?".

- Tłumaczenie symbolu jest zawsze żenujące, niszczy jego aluzyjność. Tu jednak chciałoby się zaryzykować przypuszczenie, że Zinowiew czytał wydaną po rosyjsku za granicą "Przygodę biednego

chrześcijanina" Silonego. Jest tam piękna scena pojedynku słownego między papieżem Bonifacym VIII i uwięzionym w pałacu Caetanich w Anagni trzynastowiecznym świątobliwym mnichem abruzzyjskim Fra Pietro da Morrone, który wyrzekł się tronu papieskiego po sześciu miesiącach panowania pod imieniem Celestyna V. Mówiąc o rzeczywistości, z którą należy się liczyć /powiada Fra Pietro/ ty, Ojcze Swięty, masz na myśli instytucje i władze, a ja dusze ludzkie. Bonifacy VIII wzrusza ramionami: po cóż taki wyraźny podział, czyżby dusze ludzkie nie zależały od instytucji? Na co Fra Pietro: "Bóg stworzył dusze, nie instytucje. Nieśmiertelne są dusze, nie instytucje, nie królestwa, nie armie, nie kościoły, nie narody. Ojcze Swięty, jeżeli wychylisz się z tego okna, zobaczysz na schodach katedry obdartą staruchę, żebraczkę, istotę bez znaczenia w życiu naszego świata; przesiaduje na schodach od rana do wieczora. Lecz za milion lat, za tysiąc milionów lat, istnieć będzie jeszcze jej dusza, gdyż Bóg stworzył ją nieśmiertelną. A tymczasem Królestwo Neapolu, królestwa Francji i Anglii i wszystkie inne, ze swoimi wojskami, trybunałami i fanfarami, obrócą się w nicość".

- Więc o tym zapomniał Narrator "Swietlanej przyszłości", tego nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, śledząc z okna Pijaną Staruchę? I to ciągnął na swoim bezsensownym wózku, nie wiedząc dokąd, mamrocząc pod nosem o budowie komunizmu, brodząc w nieistniejącym dlań przekroju bytu, zinowiewowski "soczek" w ostatnich słowach książki?

- Gdzieś w głębi, pod "przerażającą normalnością", czeka cierpliwie w milczeniu inna realność, pogwałcona i zdławiona."

x x x

"Nagą `socjalność' z `Świetlanej przyszłości' ma swój odpowiednik, wcale nie na antypodach, w nagiej "nacjonalności". Formuła stosownie przerobiona brzmiałaby następująco: "Nacjonalizm jest przede wszystkim zburzeniem tworów cywilizacji - które nacjonaliści nazywają instytucjami plutojudeo-liberal-demokratycznego społeczeństwa wyzysku - i stworzeniem warunków, umożliwiających odgrywanie decydującej roli prawom czystego kolektywu narodowego". Metamorfoza gatunku zamienia ludzką osobę w "jednostkę nacjonalną".

Klasyczną "jednostkę nacjonalną" obserwował i prowokował ciągłymi pytaniami do spowiedzi Kazimierz Moczarski w okresie dziewięciu miesięcy 1949 roku, we wspólnej celi Więzienia Mokotowskiego. Jürgen Stroop, generał SS o wyglądzie plebejskiego nieco wojownika ze szczepu Nibelungów, o mózgu /bardziej sępim niż orlim/ i aspiracjach małomieszczańskiego arywisty, ulubieniec Himmlera i Hitlera, wykonawca licznych "rozwiązań ostatecznych", pogromca powstania w getcie, likwidator żydowskiej "dzielnicy wyłączonej" w Warszawie. "Rozmowy z katem" Moczarskiego są książką niebywałą, przewyższającą chwilami "Eichmanna w Jerozolimie" Hanny Arendt. Nic tak jak pobyt w celi więziennej, monotonia życia za kratami przerwana nagle posiadaniem pilnego i uważnego słuchacza, nie pobudza ostrego głodu obnażania się, nie wywołuje tej szczególnej dyspozycji psychologicznej, w której wzdęciu próżności i szczerości prymitywa towarzyszy natychmiast biegunka elokwencji. Śledztwo, ekspertyzy biegłych, sąd /jak w wypadku Eichmanna obserwowanego przez Hannę Arendt/, to mniej czy więcej skuteczne środki na wstrzymanie.

"Kto chciał być prawdziwym człowiekiem, to znaczy silnym, musiał działać jak ja. Gelobt sei was hart macht!" /prawdopodobnie jedyne zdanie Nietzschego, jakie Stroop znał/. "Litość i współczucie są szkodliwe w wojsku, polityce i życiu pub-

licznym... Nakazem działań patriotycznych, narodowych jest skuteczność, a nie tak zwana moralność... Uznaję miłość bliźniego tylko wobec Niemców, którzy budowali z nami Trzecią Rzeszę... Żydzi nie mają, nie są w stanie mieć, poczucia honoru i godności. Przecież Żyd nie jest pełnym człowiekiem. Żydzi to podludzie. Mają inną krew, inne tkanki, inne kości, inne myśli niż my Europejczycy, aryjczycy, a zwłaszcza nordycy". Raz jeden w ciągu dziewięciu miesięcy Moczarski miał prośbę do Strcopa, opisującego Grossaktion in Warschau. Stroop: "Najpierw wyciągnęliśmy z bunkra matkę Żydówkę. Półprzytomna, brudna, blada, cera piwniczna, patrzy jak zahipnotyzowana w otwór bunkra, gdzie pozostało jej dziecko, maleńki synek..." Moczarski: "Niech pan nie mówi dalej, niech pan milczy! Panie Stroop, niech pan nic nie mówi, proszę". Siewca śmierci bał się jednak sam śmierci. Zabrakło mu odwagi do popełnienia samobójstwa po runięciu Trzeciej Rzeszy, na procesie gotów był w zamian za darowanie życia wystawić świadectwo "bchaterstwu Żydów i pomagających im Polaków", w przeciwnym razie szykował się do zeznania, że "żydowski opór w getcie był gównem i zabawką, i że Polacy patrzyli obojętnie a nawet aprobująco na likwidację Żydów".

Ale "Rozmowy z katem" są połową sterczącej z morza góry lodowej. Drugą połowę odsłania Aniela Steinsbergowa w książeczce "Widziane z ławy obrończej". Moczarski, cierpliwy indagator więzienny Stroopa, był w tym samym 1949 roku poddawany czterdziestu dziewięciu rodzajom tortur w ramach "piekielnego śledztwa", które mu zapowiedzieli Romkowski i Różański. "Dla poniżenia go kazano mu wymalować na czole anilinowym ołówkiem napis 'Gestapo', osadzono w celi z Jürgenem Stroopem, katem getta warszawskiego... Moczarski zaprotestował ogłaszając głodówkę, którą brutalnie

złamano. Do celi Stroopa wrzucono go siłą zbitego i skrwawionego... Przy torturowaniu byli osobiście obecni Różański i Fejgin."

Myślę, że w przyszłości, gdyby nie okazała się nazbyt "świetlana", wydanie książki Moczarskiego z tekstem Steinsbergowej w aneksie /i z jego własną pełną relacją o "rozmowach" prowadzonych w przerwach rozmów ze Stroopem, jeżeli istnieje i zachowa się w papierach pośmiertnych/ będzie prawdziwym zapisem polskiego "mojego wieku"; mostem "nacjonalno-socjalnym" między nazistami doskonałymi i komunistami doskonałymi.

„Poetów tutaj zabija się czasami, widocznie ktoś ich słucha"

Głosa do "Poezji" Osipa Mandelsztama, WL 1984

W pierwszych miesiącach 1987 /tak, tak/ w ramach gorbaczowowskiej "pieredyszki" /nie mylić z "pierestrojką"/ do księgarń "peerelowskiego kraju" dotarło pierwsze tak obszerne, wydanie poezji Mandelsztama. Zanim o samym Mandelsztamie i jego poezji trzeba by parę słów o samej książce - jako tworze wydawniczym. Bo jest to zaiste kuriozum. "Druk ukończono w listopadzie 1984" - czytamy w stopce - a w księgarniach... 87 r. Słyszeliśmy wprawdzie o listach, które docierają do adresatów po kilku miesiącach czy latach, ale żeby 30 tys. egzemplarzy liczących prawie 600 stron formatu A-4 książek krążyło po prl-u 2 lata - to przekracza nasze rozumienie /"Są rzeczy na niebie..."/.

Kto i dlaczego wstrzymał rozpowszechnianie tej książki pozostaje na razie tajemnicą /poliszyne-

la? - ambasada radziecka?!/.

Niewątpliwie była to decyzja "polityczna", która zapadła na wysokim szczeblu. Nie obyło się niewątpliwie bez rzęsistych tłumaczeń "odpowiedzialnych za tę prowokację" - myśleli, że już można? Najmocniej dostało się zapewne "redaktorowi prowadzącemu" /co to za licho?/ p. Alle Sarachanowej.

Powodów było sporo; niektórych możemy się domyślać: zamieszczenie utworów z wydań emigracyjnych - nie drukowanych w ZSRR lub też osoba jednego z tłumaczy - niejakiego Barańczaka, który "znany jest z tego, że niejednokrotnie szkalował przodujący ustrój". Koniec końców najbardziej winny jest sam Mandelsztam, a szczególnie jego poezja. Zaś jego największa wina polegała na tym, że w ogóle istniał i śmiał pisać poezje nie opiewające "budów socjalizmu". Śmiał natomiast napisać wiersz "szkalujący tow. Stalina" i za to 14 maja 1934 został formalnie aresztowany i zesłany. Wiersza tego nie ma oczywiście w tej książce - drukujemy go poniżej.

Nie wypada kopać leżącego i rozumiem delikatność sytuacji autorki wyboru i posłowia Marii Leśniewskiej, niemniej myśli w rodzaju: "Podobnie jak Cwietajewa, nie umiał pogodzić się z pewnymi koniecznościami historycznymi, a swój nonkonformizm wyrażał równie bezpośrednio, jak dziecinnie. Nic dziwnego /podkr. KES/, że musiał ponieść tego konsekwencje" są na granicy profanacji pamięci człowieka, który zginął w drodze na Kołymę.

Nie ma w tym wyborze również innego wiersza, którego zakończenie pozwolę sobie wyeksponować, jako najlepszy komentarz do losów tej "dziwnej książki".

"Lecz z ziemi, która uniknie rozpadu,
Rozum i życie wygna - cień Stalina".

P.S. Ciekawe, ile straciło na tych przepychankach wydawnictwo. Cena jest bowiem /550zł/ cokolwiek anachroniczna.

KES

Żyjemy tu, nie czując pod stopami ziemi,
Nie słychać i na dziesięć kroków, co szepczemy,

A w półsłówkach, półrozmówkach naszych
Cień górala kremlowskiego straszy.

Palce, tłuste jak czerwie, w grubą pięść układa,
Słowo mu z ust pudowym ciężarem upada.

Śmieją się karaluszе wąsiska
I cholewa jak słońce rozbłyska.

Wokół niego hałastra cienkoszyich wodzów
Bawi go tych usłużnych półludzików mozół.

Jeden łka, drugi czka, trzeci skrzeczy,
A on sam szturcha ich i złorzeczy.

I ukaz za ukazem kuje jak podkowę –
Temu w pysk, temu w kark, temu w brzuch, temu
w głowę.

Miodem kapie każda nowa śmierć
Na szeroką osetyńską pierś.

Listopad 1933

Gdyby zabrali mnie nasi wrogowie,
Gdyby nikt nie chciał do mnie przemówić ni słowem
I gdybym wszystkich praw był pozbawiony -
Do otwierania drzwi, do oddychania
I do pewności, że życie trwać będzie
I że lud wszystko osądzi jak sędzia;
Gdyby ochłapem,na ziemię rzuconym,
Zaczęli karmić mnie jak dzikie zwierzę -
Ja nie zamilknę, bólu nie uśmierzę,
lecz spiszę wszystko to, co spisać mogę:
A gdy rozhuśtam nagi hufiec dzwonów,
I gdy rozbudzę wokół mroki wrogie,
Wtedy zaprzęgnę w mój głos dziesięć wołów
I pług powiedzie ręce w mrok i trwogę;
W ocean, który z oczu bratnich spływa,
Ruszę ciężarem zebranego żniwa,
Sprężoną klątwą, co w dal się wyrywa,
I w głębi czujnie strażującej nocy
Błysną robotnej ziemi czarne oczy,
I przemknie obok lat płomiennych stado,
Zaszumi burza dojrzała Lenina,
Lecz z ziemi,która uniknie rozpadu,
Rozum i życie wygna - cień Stalina.

Woroneż 1937

O leniwych Polakach

- Wszystko to rozumiemy - mówią życzliwi nam cudzoziemcy - tę waszą tragiczną przeszłość, kompleksy, sowiecką dominację, brak demokracji, konflikt wartości i aspiracji z systemem, Czy przy tym wszystkim jednak, nie moglibyście, choć trochę, więcej i lepiej pracować? Przecież jakiś tam w końcu potencjał macie: fabryki, koleje, grunty uprawne... Czy to wszystko, nawet przy biurokratycznym zarządzaniu, musi być aż tak niewydolne? Wiemy, że nie dacie sobie rady bez pomocy, lecz czy ze swej strony zrobiliście już wszystko co można było, by wyjść z kryzysu?

Oczywiście: moglibyśmy choć trochę; nie musi być aż tak; nie wszystko jeszcze... Ale przecież zupełnie nie o to chodzi, nie na tym polega problem i nie tu znajduje się klucz do niego, choć w samej Polsce wielu ludzi - i to nie tylko wśród władzy - zgadza się, że gdyby tak wszyscy raźniej się wzięli do pracy, to przecież jakoś by się ruszyło. Tyle tylko, że było już parę takich ostrych startów, ostatni po kolejnym wstrząsie 1970 roku, i to był początek tego najbardziej zwariowanego i marnotrawnego okresu, zakończonego obecnym kryzysem, którego końca nie widać.

FOLWARK

Żeby nie przytaczać dziesiątków przyczyn, dlaczego jest tak, jak jest, a ich ilość budzi aż podejrzenie, spróbujmy znaleźć jakiś klucz, jakiś model, który by nam tłumaczył istotę tego systemu. Niechby nawet wydawał się wręcz fantastyczny.

Otóż wyobraźmy sobie, że współczesna Polska jest jednym wielkim majątkiem feudalnym, takim,

jakie dominowały na naszych ziemiach jeszcze półtora wieku temu. Cudzoziemcowi z dalszych okolic Europy trzeba przypomnieć, na czym ten model polegał.

Podstawą jego jest feudalna własność seniora na całą ziemię w obrębie jego dominium: na grunty, łąki, lasy, wody - wraz z ich bogactwami i płodami. On jeden ma prawo użytkowania tego wszystkiego i wszelkiej działalności gospodarczej. Od jego woli zależy wydanie i cofnięcie zezwolenia na produkcję i handel oraz arbitralne ustalenie warunków. Chłopi są przypisani do ziemi, której im nie wolno opuścić. A ponieważ żyją na ziemi seniora, więc muszą płacić mu za to tyle, ile uzna za słuszne /czynsz/, bądź odpracować to na ziemi, którą on bezpośrednio użytkuje /pańszczyzna/ w wyznaczonym przez niego wymiarze i w określony przez niego sposób. Wszelkie towary spożywcze i przemysłowe, których chłopi nie produkują sami, muszą oni kupować od seniora, bądź za jego pośrednictwem. Przez niego też mogą zbywać ewentualne nadwyżki. W obu wypadkach on dowolnie ustala ceny. Są przy tym osobiście od niego zależni /poddaństwo/, gdyż senior sprawuje nad nimi władzę policyjną i sądową, zaś przed jej nadużyciem nic nie jest w stanie chłopa uchronić.

System ten jest zarazem uznawany za opiekuńczy, gdyż to senior wydziela chłopom kawałki swojego gruntu do uprawy, bądź rozdziela produkty. On więc określa rozmiar i charakter spożycia, gdyż wszystko co chłop spożywa jest pańskie.

A teraz przenieśmy się do kraju, w którym komuniści - siłą własną bądź cudzą, bo inaczej to się nigdzie nie udało - zdobyli pełnię władzy politycznej. Ich podstawowym celem jest całkowite przekształcenie stosunków społecznych i gospodarczych. Ogólny kierunek zmian to uspołecznienie środków produkcji, co przede wszystkim oznacza

odebranie ich z rąk prywatnych. A ponieważ cały dotychczasowy porządek jest z definicji zły, przeto im dalej pójdą te zmiany, tym lepiej.

Zaczyna się od upaństwowienia banków, wielkich fabryk, kolei, wprowadzenia państwowego monopolu handlu zagranicznego. Odbiera się też wielkie majątki ziemskie, a ziemię ich przeważnie rozdaje się chłopom, Na tym etapie, abstrahując od konfliktów politycznych, zmiany te mogą liczyć na dość szerokie poparcie.

Szybko jednak przychodzą dalsze. Władza przejmuje coraz mniejsze zakłady produkcyjne, aż do rzemieślniczych warsztatów i małych sklepików oraz odbiera ziemię chłopom, tworząc z niej wielkie gospodarstwa, bądź jawnie państwowe, bądź - co częściej - fikcyjne spółdzielnie, będące de facto własnością państwa. Chłopom wydziela się kawałki ziemi, działki, które mogą uprawiać na własny użytek, po odrobieniu tego, co trzeba, w gospodarstwie zwanym uspołecznionym.

W ten sposób władza staje się właścicielem praktycznie całego majątku produkcyjnego w kraju i ma faktyczny, bądź również formalny monopol na wszelką działalność gospodarczą. Tam, gdzie jak w Polsce, istnieją w ograniczonym zakresie i rozmiarze prywatne placówki produkcyjne i handlowe, tam prowadzenie ich jest możliwe tylko na podstawie indywidualnie wydawanych i cofanych koncesji. Do władzy należy wówczas ocena celowości tego przedsięwzięcia, a nie do przedsiębiorcy i klientów. Ona też pilnuje, by robiono tam tylko to, co jest przewidziane w koncesji i aby zakłady te nie rozrastały się i nie zwiększały obrotów ponad założony limit. by nie zwiększały zysków, korzystając z koniunktury itp. To samo dokładnie wykonywał... feudalny nadzór cechowy.

Polska jest w obozie komunistycznym krajem o tyle jeszcze wyjątkowym, że na skutek przemian

politycznych 1956 roku, które wyeliminowały brutalny terror fizyczny w wielkich wymiarach, nie udało się skolektywizować, a właściwie upaństwowić, rolnictwa, które w większości zostało domeną rolników indywidualnych. By już nie wracać do tego ważnego skądinąd tematu, przypomnijmy, że władza ustaliła swój faktyczny monopol na dostawę środków produkcyjnych dla rolnictwa i na skup większości jego produktów, jedno i drugie po cenach przez siebie wyznaczonych. Arbitralnie też prowadzi ona politykę podatkową i ustala przepisy regulujące obrót ziemią. Generalnie, w ciągu trzech dziesięcioleci polityka rolna państwa, przy licznych wahaniach, zmierza do tego, aby rolnictwo produkowało pewne minimum żywności i aby przy tym dochodowość jego była raczej niska, by dostawy środków produkcji i obrót gruntami nie prowadził do powstawania wielkich i silnych gospodarstw farmerskich, by praca w rolnictwie nie była atrakcyjna i aby ludzie zeń odchodzili, ułatwiając jego ewentualne przejmowanie przez sektor państwowy w przyszłości. W każdym razie niesocjalistyczne rolnictwo nie ma faktycznie prawa prosperować przy rozkładającej się gospodarce państwowej.

Wszelako ten niesocjalistyczny charakter rolnictwa sprawia, że jest ono, pomimo wszystkich trudności, tą częścią gospodarki, która jeszcze stosunkowo najlepiej wywiązuje się z podstawowych swych zadań - w Polsce bardzo wielu bardzo źle i biednie się odżywia, lecz nikt nie umiera z głodu, zaś wieloletnia polityka władz jest przyczyną stałego niedorozwoju rolnictwa i niedoboru żywności, w kraju, który ma obiektywne warunki, aby być jej wielkim eksporterem, tak jak bywał nim w przeszłości.

Ogólną zasadą socjalizmu, przyjętą werbalnie przez komunistów, było uspołecznienie środków

produkcji. Pod rządami komunistów, niezależnie od posługiwania się gdzieniegdzie szyldem spółdzielczym, jest to praktycznie upaństwowienie. Władza państwowa jest przy tym absolutnie niedemokratyczna. Nie pochodzi z wyboru, nie znajduje się pod żadną kontrolą ze strony społeczeństwa, które na żadnym szczeblu i na żadnym odcinku nie ma praktycznej możliwości wpływania na sposób zarządzania gospodarką, na allokację środków, podział produktu itd. Gospodarka uspołeczniona jest zatem fikcją. Jest w istocie rzeczy zbiorową własnością rządzącej oligarchii, przy czym od miejsca zajmowanego w aparacie władzy zależy stopień wpływu na decyzje i wysokość udziału w spożyciu.

To samo państwo, które jest właścicielem gospodarki /całej, bądź prawie całej i kontrolerem reszty/ oraz ma monopol na wszelką działalność gospodarczą na swym terytorium, jest zarazem, z własnej nominacji, nieusuwalną władzą; ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą nad swoimi pracownikami, którym doprawdy bardziej pasuje do ich statusu nazwa poddanych aniżeli obywateli.

W krajach konsekwentnego komunizmu, jak ZSRR czy Bułgaria, wszyscy oni, zaś w takich jak Polska - w ogromnej większości, mogą i muszą pracować u jednego praktycznie pracodawcy, który dowolnie i jednostronnie określa warunki tej pracy w różnych swoich agendach, jakimi są fabryki, spółdzielnie, placówki handlowe, sfera świadczeń społecznych itd. W dodatku są oni przypisani do dominium swojego seniora. On decyduje - w większości krajów odmownie - czy, dokąd, po co i na jak długo mogą jego poddani wyjechać za granicę. Zmiana pana i pracodawcy nie wchodzi w rachubę...

MECHANIZM

Jeśli właściciel folwarku przerzuca swój owies ze swojej stodoły do swojej stajni, to nie występuje tutaj akt kupna-sprzedaży, jako że nie następuje zmiana właściciela. Skoro produkt, jakim jest owies, nie zostaje wystawiony na sprzedaż, nie staje się on towarem. Tak samo jest, kiedy państwowy węgiel jedzie z państwowej kopalni do państwowej elektrowni, z której państwowy prąd płynie do państwowej fabryki. W obrocie między jednostkami, będącymi własnością tego samego podmiotu, nie następuje zmiana właściciela, obrót ten nie odbywa się na rynku, nie występuje łańcuch: towar - pieniądz - towar, ani też pieniądz - towar - pieniądz.

Na początku komunistyczna doktryna odrzucała wszystkie kapitalistyczne kategorie, w tym rynek, pieniądz i cenę. Pieniędzy nawet miało nie być, lecz wkrótce okazało się, że konieczny jest jakiś wspólny przelicznik dla porównania i zestawienia kilowatogodzin, dniówek roboczych, tonokilometrów i metrów bieżących. Tę właśnie funkcję pełni pieniądz w komunistycznej gospodarce, Kiedy jednak zaczyna się oficjalnie przywracać do łask rynek, wartość, cenę, to można - niczego nie zmieniając - twierdzić, że mamy rozrachunek ekonomiczny, skoro fabryka płaci za prąd, elektrownia za węgiel, a kopalnia za maszyny. Jeśli jednak cena ta kiedykolwiek zbliżona jest do wartości, to tylko przypadkiem, a po drugie - nikt tego nie wie. Albowiem wszystkie ceny w oficjalnym obrocie są ustalane przez państwo zupełnie dowolnie i wyrażają nie wartość, nie stosunek podaży i popytu, lecz preferencje państwa, które chce, żeby pewne dobra były tanie, a pewne drogie, bo w ten sposób udaje mu się wykazać opłacalność rachunkowego wydobycia węgla w epoce taniej ropy i nieopłacalność lokali gastronomicznych cieszących się wielkim powodzeniem.

Przy najistotniejszych dla gospodarki produktach i przedsięwzięciach: węgiel, energia, stal, cement, ważne budowy i wszelka produkcja uznana za ważną, plan określa, która jednostka ma zaopatrzyć którą, ewentualnie co i kiedy ma dla niej wykonać. Każda ma mieć tyle pieniędzy, aby po wyznaczonej cenie opłacić wyznaczoną ilość produktu albo usługę. Gdy to się nie bilansuje, jednostka dostanie w tej czy innej formie /ulga podatkowa albo dotacja, albo upust w cenie/ pomoc z centrali, a jeśli zostaną jej nadwyżki, to w taki czy inny sposób centrala zabierze jej ponad 95% zysku. Jest to schemat, skryty za masą zróżnicowanych przepisów i zagmatwany masą wyjątków, ale taka jest ciągle istota tej ekonomiki, w której to, co nazywa się przedsiębiorstwem, jest w gruncie rzeczy oddziałem produkcyjnym czy handlowym jednego państwowego przedsiębiorcy.

Mimo to, komunistyczne państwo ciągle bliższe jest wielkiego feudalnego latyfundium niż kapitalistycznego koncernu, do jakiego się je porównuje. Dla właścicieli koncernu podstawowym kryterium jest zysk, on warunkuje wszystko inne, zaś dla posiadacza dominium - czy jest nim historyczny książę, czy współczesne państwo - liczy się władza i splendor oraz trwałość tego statusu. W demokratycznym państwie cele te muszą jakoś odpowiadać większości wyborców, jeśli cały ten układ ma się okazać trwały. Im jednak władza jest mniej zależna od rządzonego społeczeństwa, tym większa jest autonomia jej celów i ich rozbieżności z interesami większości.

Ustrój komunistyczny, będący próbą realizacji utopii, musi stale wykazywać swą doskonałość, a w każdym razie wyższość nad formacją kapitalistyczną. Zważywszy jego zdecydowanie niższą efektywność, której przyczyny usiłujemy tu właśnie przedstawić, podstawowym sposobem owego wy-

kazywania się jest ekspansja. Na inne kraje, w ramach imperialnej potęgi bloku radzieckiego, oraz wewnętrzna. Ta wewnętrzna, to właśnie wspomniane już niszczenie i przejmowanie /bądź częściowe - jak w Polsce - ograniczanie/ innych, niepaństwowych sektorów społeczno-gospodarczych oraz monstrualna rozbudowa sektora własnego, kosztem całego społeczeństwa.

Przeważnie każda władza lubi demonstrować i uwieczniać swój splendor przy pomocy budowli publicznych. W komunizmie zalicza się do nich również wielkie huty, kopalnie, zakłady przemysłowe. To też własność państwa, widomy dowód jego potęgi, troski o gospodarkę, a zatem i o potrzeby ludności, a zarazem przez siebie samego stwarzany dodatkowy obszar władzy. A każdy lubi być demiurgiem, gdy może nie liczyć się z kosztami.

Tu zaś, gdzie wyeliminowano stosunki rynkowe, z kosztami można się nie liczyć, bo ich nie można znać. Pozostaje tylko obrót rzeczowy: produktami, mocami przerobowymi, energią i siłą roboczą. Na zasadzie prostych bilansów: przy pomocy tych środków możemy zrobić albo nową hutę, albo dom starców - co ważniejsze? Zawsze znajdą się eksperci, którzy tak dobiorą dane, aby ważniejsze okazało się to, czego chce władza. Przy czym z reguły będzie ona wolała hutę. Albowiem tam, gdzie nie ma rachunku ekonomicznego, lansuje się prymitywny racjonalizm, że wpierw musi powstać przemysł środków produkcji, aby mógł powstać przemysł środków spożycia, że wpierw potrzeba węgla, stali, cementu, aby mogły być zrobione tkaniny i samochody. Te abstrakcyjne schematy nie mogą być skonfrontowane z rzeczywistością ekonomiczną, bo odrzucone zostały kategorie poznania i regulacji.

Państwo komunistyczne nie jest pierwszym, które stawia na ekspansję i na własne pomniki.

Jednak dotychczas, nawet najbardziej niedemokratyczne państwo, nie liczące się z interesem poddanych, musiało się liczyć ze środkami na prowadzenie swej polityki. By wygrać wojnę - mawiał książę Eugeniusz Sabaudzki - trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Te pieniądze władza ściąga z gospodarki, której - choćby z tego powodu - winna zapewnić warunki rozwoju i egzystencji. Komunistyczne państwo, stając się właścicielem gospodarki, nie wymaga od niej dochodów, gdyż samo ma wszystko, co trzeba, do odlewania armat, robienia prochu, szycia mundurów i butów, a także do budowy pałaców, placów i wszystkiego, co uzna za nieodzowne.

Działanie się upraszcza: nie trzeba z jednych przedsiębiorców ściągać podatków, aby u innych składać zamówienie, licząc się z czyimś interesem po drodze. Władzy nie limituje dochodowość gospodarki, lecz jej fizyczna wydolność, którą należy maksymalnie powiększać, by mogła sprostać stawianym celom. A więc maksymalny wzrost, ograniczany z kolei również fizycznym rozmiarem dóbr, a nie niemożliwą wszak kalkulacją efektywności, staje się naczelną zasadą komunistycznej gospodarki. Wzrost ten jest w odczuciu jej właścicieli darmowy. Tak naprawdę kupuje ona tylko zagranicą, co sprawia, że dominuje przeważnie autarkia. Na miejscu ma państwo swoje surowce, swoją strukturę przemysłową i infrastrukturę, swoje środowisko naturalne i swoich ludzi do pracy. A w sprzyjających okolicznościach może jeszcze naciągnąć na kredyty naiwnych kredytodawców z Zachodu, którzy widząc ten dynamiczny wzrost sądzą, że warto weń zainwestować. Tymczasem jest to coś w rodzaju huty, która się stale rozbudowuje, zużywając na to całą produkowaną przez siebie stal. Produkcja stali rośnie, lecz ani kilogram nie wychodzi na zewnątrz. Trzeba

więc... rozbudować hutę. Oto model takiego wzrostu!

Jako przyczynę niewydolności aparatu produkcyjnego w komunizmie wymienia się przede wszystkim rządy biurokracji - i słusznie. Lecz jeszcze ważniejsza jest monopolizacja całej prawie gospodarki oraz brak rynku. Gospodarka limitowana nie ilością pieniędzy, które każdy ma w ograniczonym wymiarze, lecz fizycznym rozmiarem dóbr, nigdy nie jest w stanie sprostać potrzebom, które każdy ma przeważnie nieograniczone i niedobór - praktycznie wszystkiego - jest jej immanentną cechą. W tej sytuacji nie ma mowy o konkurencji, nawet na tych obszarach gospodarki, gdzie centralny plan nie przewiduje kto komu, czego i ile ma dostarczyć, gdzie istnieje więc jaki taki wybór kontrahenta. Brak konkurencji, prawie zawsze zapewniony zbyt na wszystko /jeden odbiorca musi odebrać - bo ma to przypisane w planie, a drugi - bo nie ma wyboru/ sprawia, że producent nie ma żadnej potrzeby wysilania się, aby wytwarzać produkt sprawny, nowoczesny, estetyczny, trwały. I aby obniżać koszty wytwarzania. Nie mogąc maksymalizować zysku, minimalizuje wysiłek, przede wszystkim obniżając jakość produktu, a potem dopiero ilość, gdyż w ilości plan jest trudniej oszukać. Takie jest główne, choć nie jedyne, źródło coraz większego zacofania gospodarki komunistycznej, jej malejącej konkurencyjności w świecie.

Tego rodzaju gospodarka ma rosnąć /w socjalistycznej ekonomii politycznej nie ma - co charakterystyczne - rozróżnienia między rozwojem - "development", a wzrostem - "growth"/ tak długo, dopóki ma zapewniony dopływ nowych środków: surowców, kredytów zagranicznych, pracy i dopóki starcza wytrzymałości środowiska oraz zaniedbywanej infrastruktury. Po przekroczeniu pewnego progu, przyrosty stają się mniejsze, potem zaczyna się

dekapitalizacja, gospodarka pożera samą siebie.

Wydaje się, że wszystkie kraje bloku sowieckiego, na czele z hegemonem, przekraczają właśnie ten próg. W Rumunii i Polsce kryzys przybrał najbardziej spektakularne formy. Na Węgrzech i w Czechosłowacji regres jest widoczny, lecz jeszcze umiarkowany, zaś nietypowym krajem jest NRD, podtrzymywana ekonomicznie przez dopływ środków z Niemiec Zachodnich. Nie widać obecnie żadnych szans na to, by komunistyczna gospodarka, nie zmieniając swego charakteru i sposobu funkcjonowania, była w stanie odwrócić postępujący proces upadku.

PRACA

Co w tej sytuacji może zmienić zwiększony wysiłek Polaków? Na ile jest w ogóle możliwy?

Komunistyczna władza realizuje zasadę Piotra I: "by ani jedna ręka w Państwie nie próżnowała", ponieważ czuje się nie tyle pracodawcą, kalkulującym kogo i za ile warto mu zatrudnić, lecz naturalnym dysponentem całej siły roboczej, która i tak jest na państwowy rachunek. Stąd liczne elementy przymusu pracy w gospodarce komunistycznej, łącznie z systemem obozów /Gułag/, a także przymus ekonomiczny, na zupełnie innym poziomie niż w kapitalizmie.

W Polsce obecnie przeciętna płaca miesięczna wynosi ok. 22 tys. złotych, przy czym 2/3 pracujących jej nie osiąga. Minimum socjalne na jedną osobę oficjalne związki zawodowe nieoficjalnie szacują na 11 tys. złotych miesięcznie. Pozwala ono na bardzo biedną egzystencję, bez uwzględnienia środków na urządzenie się. Wynika z tego, że pełnozatrudniony pracownik, przeważnie wykwalifikowany i to należący do wyżej zarabiającej mniejszości, nie jest w stanie ze swych regularnych zarobków za regularną pracę utrzymać nawet

na poziomie minimum socjalnego żony i dziecka! Nie jest to rezultat obecnego kryzysu - choć pogorszył on znacznie sytuację materialną większości ludzi - tak było przez całe z górą czterdzieści lat komunistycznej władzy.

Z jej punktu widzenia posunięcie to było celowe, gdyż zmuszało do pracy wszystkich, w tym kobiety, łącznie z tymi, które wychowują małe dzieci - specyfika komunistycznej gospodarki we wszystkich krajach. Ekstensywnej gospodarce potrzeba dużo taniej siły roboczej. Pozwala to jednocześnie pochwalić się likwidacją bezrobocia i objąć kontrolą całą ludność również z pozycji pracodawcy. W systemie komunistycznym, którego głównym celem jest sprawowanie władzy, jest to wzgląd bardzo istotny: zaszeregowanie człowieka do jakiejś grupy pracowniczej, przeważnie zorganizowanej na paternalistycznych zasadach.

Kapitalistyczny pracodawca pojedynczo traktuje płace jako koszt i skłonny jest je obniżać, lecz klasa pracodawców i producentów zarazem musi uwzględniać fakt, że płace w rękach pracowników stanowią podstawowe narzędzie popytu, gwarantującego zbyt ich towarów. Stąd optymalizacja - nieraz burzliwa - relacji płac, kosztów i cen. W socjalizmie jedyny pracodawca jest zarazem jedynym producentem i dostawcą wszelkich produktów i usług.

To prawda, że wypłaca on ludziom pieniądze, lecz pieniądz w tym ustroju nie kreuje popytu. Zrobi się i zbuduje nie to, co ludzie byliby skłonni za swe pieniądze kupić, lecz to, co państwo uzna dla nich za konieczne, przy czym spożycie ludności, w ramach fizycznego limitu środków, pozostaje konkurencyjne dla celów, które sobie to państwo stawia. Ustalając rodzaj i ilość produkcji, ceny i płace, reguluje ono spożycie ludności na uznawanym przez siebie za właściwy poziomie. W NRD na przykład, gdzie poziom ten jest

jak na kraj komunistyczny, dosyć wysoki, świat pracy - zdyscyplinowany, a machina urzędnicza w miarę sprawna, udaje się utrzymywać płace i ceny na zbilansowanym i prawie niezmiennym poziomie. W Polsce, gdzie władza stale obawia się wybuchu społecznego, przekupuje ona najbardziej groźnych robotników wielkiego przemysłu, płacąc im coraz więcej coraz mniej wartych pieniędzy, jako że w ślad za tymi wypłatami nie następuje zwiększona odpowiednio produkcja dóbr. Stąd rodzi się - między innymi, bo jest jeszcze parę innych źródeł - inflacja. Służy ona władzy następnie jako argument przeciw podnoszeniu płac tym, których się ona nie boi, oraz za podnoszeniem cen.

Przy pomocy takiej polityki udało się doprowadzić do stanu, w którym koszty pracy w przemyśle wynoszą 12-13% kosztów własnych. W tej sytuacji praca jest najbardziej marnotrawionym czynnikiem produkcji. W przemyśle maszynowym na przykład, jak wykazała ankieta, tylko jeden robotnik na dziesięciu uważa, że ma dobrze zorganizowaną pracę. Zatrudnia się ludzi na zapas, toleruje niezliczone przestoje, pijaństwo, złą pracę, a do pewnego stopnia nawet kradzieże /wiadomo, że pracownicy zarabiają mało i że pewnych rzeczy nie kupią za żadne pieniądze/.

Przede wszystkim jednak, w tej sytuacji nie opłaca się postęp techniczny. Nowe maszyny, mniej pracochłonne technologie, podnoszą koszty, bo są z reguły droższe od pracy, którą mają zastąpić. Tam, gdzie ten postęp w jakimś stopniu, na przekór wszystkiemu, ma jednak miejsce, tam się podraża produkcja. Do utrzymania tego stanu przyczynia się polityka gospodarcza polegająca na stałym windowaniu cen na wszystkie produkty i pilnowaniu, przy pomocy opodatkowywania zakładów pracy, aby nie podnosiły one płac, w dążeniu do pozyskania i utrzymania pracowników.

Praca na państwowej posadzie - a pracuje tak około 12 milionów ludzi - zapewnia w wielu wypadkach tylko minimum biologiczne i świadczenia socjalne na bardzo niskim poziomie, lecz pewne. Z dostaniem i utrzymaniem marnej pracy nie ma też na ogół większych trudności, aczkolwiek przy pełnym zatrudnieniu bywa niekiedy trudno znaleźć pracę, zwłaszcza wyżej kwalifikowanym, tam gdzie oni mieszkają. Wielogodzinne dojazdy do pracy są więc regułą dla więcej niż połowy zatrudnionych. Praca jednak w bardzo niewielkim stopniu załatwia podstawowe problemy życiowe. Poziom życia zależy w większym stopniu od stosunku pracujących i niepracujących w rodzinie niż od zarobków jej zatrudnionych członków, Urodzenie kolejnego dziecka może zatem przekreślić skutki wieloletniego awansu. Tym bardziej, że w większości rodzin większość wydatków przeznacza się na jedzenie.

Cena rynkowa - czyli z drugiej ręki - najgorszego samochodu, Fiata 126, stanowi równowartość prawie trzechletnich przeciętnych zarobków. Koszt kupionego prywatnie niewielkiego /ok. 50 metrów kwadratowych/, niewygodnego i niezdrowego mieszkania w betonowych blokach, o standardzie slumsów od momentu ich zbudowania, wynosi obecnie ok. 5-6 milionów złotych. Jest to więcej niż większość pracowników zarobi przez całe swoje życie, od stażu do emerytury. Zaś na takież mieszkanie spółdzielcze, skalkulowane w sposób możliwy do wytrzymania przez większość pracujących czeka się 15 i więcej lat.

Wydaje się, że jak na te warunki, to stosunek do pracy większości pracujących jest jeszcze zadziwiająco dobry. Trzeba przy tym sobie zdawać sprawę, że źle zorganizowana praca jest bardziej męcząca i nie niwelują tego zmęczenia przestoje. Przeważnie odbywa się ona w złych warunkach, jeśli chodzi o higienę i bezpieczeństwo. Urazowość jest bardzo duża, mimo fałszowania statystyki.

Ogół pracujących jest też zmęczony dojazdami do pracy i powrotami, przeważnie w tłoku i brudzie, wielogodzinnym chodzeniem po sklepach i wystawaniem w kolejkach - przy czym kupienie po oficjalnej, a nie czarnorynkowej, cenie jakiegoś produktu daje niekiedy większą korzyść niż wynosi płaca za tygodnie czy nawet miesiące pracy - zmęczony jest także czasem traconym w urzędach, w przychodniach lekarskich o skandalicznie niskim standardzie, korzystaniem z usług, w tym nawet gastronomii, spędzaniem urlopu w niewygodnych warunkach. Wszystko to, wraz z niewygodnymi mieszkaniami, męczy i powoduje stresy, wyczerpując tę samą pulę energii i odporności życiowej, co praca. A w dodatku, niemożliwa do ustalenia część zatrudnionych musi podejmować dodatkowe wysiłki celem dodatkowego zarobienia. Jest to praca w nadgodzinach, w innych zakładach, pokątne rzemiosło, prywatnie świadczone usługi.

To przepracowane, przemęczone i zabiedzone społeczeństwo poddawane jest nieustannym oskarżeniom o lenistwo i złą pracę oraz apelom, by pracowało więcej i lepiej, jeśli chce podnieść swój poziom życiowy. W obecnych warunkach może to praktycznie oznaczać jedynie intensyfikację wysiłku, zaś wzrost spożycia nie jest bynajmniej pewny.

Udział płac w produkcji sprzedanej przemysłu wynosi obecnie w Polsce ok. 10%. W przedwojennej Polsce, pół wieku temu, w kraju nisko uprzemysłowionym, trapionym przez strukturalne bezrobocie, udział ten wynosił 21% i był uznawany za niski, zaś stopa wyzysku za wysoką. Wbrew temu, co oficjalnie się twierdzi, pracownicy nie dostają tego co wypracowują, lecz to, co władza im do spożycia przyznaje, przy czym nie ma tu stałego mechanizmu, który by zapewniał chociaż te dziesięć procent i pozwalał pracą wpływać na ich konkretną wysokość. Stąd powszechność postaw roszczeniowych u pracowników, na co się władza uskarża i stąd

nieskuteczność polityki - nieudolnej i niekonsekwentnej - różnicowania płac. Badania ankietowe wykazują, że większość społeczeństwa nie wyznaje już prymitywnego egalitaryzmu i zgadza się na lepsze wynagrodzenie za lepszą pracę. Nie ma jednakże zgody na manipulowanie głodem, poniżej uznawanego minimum. W tej sytuacji nawet znaczna, bo kilkunastoprocentowa podwyżka traktowana jest jako należny zwrot zaledwie części tego, co się już dawno zapracowało, a nie zobowiązanie do lepszej pracy.

ZAMACH

Kiedy komunistyczna władza nie może udawać, że nie ma kryzysu, musi podać jakieś jego przyczyny. Tak było kiedy w 1956 roku dochodził do władzy Gomułka, tak w 1970, gdy władzę obejmował Gierek i w 1981, kiedy objął ją Jaruzelski. Zawsze wówczas podaje się jako główną przyczynę błędy poprzedniej ekipy, choć nowa w dużej części uczestniczyła i w starej, a z przywódców tylko Gomułka nie był członkiem najwyższych władz w okresie bezpośrednio poprzedzającym przełom polityczny. /Generał Jaruzelski członkiem najwyższej władzy partyjnej, Biura Politycznego i rządu został jeszcze za Gomułki i był nim przez cały czas rządów Gierka./

Woluntaryzm ekipy gierkowskiej polegał głównie na tym, że lekkomyślnie przyspieszony wzrost gospodarki na wszystkich praktycznie odcinkach przyspieszył wyczerpywanie rezerw, których przedtem ostrożnie używał Gomułka. Sięgnięto też po dodatkową rezerwę w postaci kredytów zagranicznych. W ten sposób doszło do gwałtownego załamania na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych oraz do zadłużenia wynoszącego obecnie ponad 31 miliardów dolarów, które się z roku na rok powiększa. Jednakże charakter systemu doprowa-

dziłby zapewne do załamania i bez tego, tyle że później i może w mniej dramatycznej formie.

Oprócz woluntaryzmu Gierka, przyczyną kryzysu miała być, w równym co najmniej stopniu, anarchizacja gospodarki spowodowana przez legalnie działającą "Solidarność", co było jedną z przyczyn skłaniających władzę do wprowadzenia zamachu wojskowego 13 grudnia 1981 roku. Po pięciu latach nieustannego powtarzania skłonna jest w to wierzyć nawet spora część społeczeństwa. Tymczasem, z oficjalnych roczników statystycznych wynika, że jeden pracownik w sferze produkcji materialnej przestrajkował w 1980 roku 4 godziny i 54 minuty, zaś w roku następnych 4 godziny i 24 minuty, z czego zapewne sporą część już po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia. W tych samych latach przypadło na niego po 125 i 137 godzin absencji chorobowej. Tak wyglądał ów "pistolet strajkowy", który miał paraliżować gospodarkę.

Sytuacja między podpisaniem porozumień ze strajkującymi 31 sierpnia 1980 roku, a wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia w roku następnym, wyglądała tak, że społeczeństwo wraz ze swymi organizacjami zwiększyło znacznie swój zakres podmiotowości w polityce, życiu społecznym, kulturze. W gospodarce natomiast władza zachowała wszystkie swoje pozycje. Dopiero 25 września 1981 roku uchwalono kompromisową - między władzą a "Solidarnością" - ustawę o samorządzie pracowniczym w państwowych zakładach, która nie zdążyła do grudnia wejść rzeczywiście w życie. Jednakże władza w tym okresie zachowywała się tak, jakby została z niej zdjęta wszelka odpowiedzialność za funkcjonowanie gospodarki. Procesy destrukcyjne trwały w dalszym ciągu, lecz władza była zainteresowana w tym, aby w okresie uszczuplenia jej prerogatyw kryzys przekształcał się w katastrofę i aby ta katastrofa miała spektakularny i odczuwalny charakter w postaci załamania zaopatrzenia

ludności. Stwarzało to rezerwy dla pewnej poprawy już po zamachu wojskowym.

Generałowie u władzy, odsunięcie rozpolitykowanych działaczy, spacyfikowane związki zawodowe z ich roszczeniami, skończona destrukcyjna rola prasy, powszechna dyscypliną - taki obraz po zamachu wojskowym budzi niekiedy nadzieje. Na to liczył zapewne gen. Jaruzelski i tak był odbierany przez niektóre koła interesu na Zachodzie, które może i żałowały Polaków, lecz uważały, że od ich wolnościowych aspiracji ważniejszy jest porządek i praca. Tak też odebrała to część społeczeństwa polskiego.

Sam początek stanu wojennego, z jego restrykcjami, zastraszeniem i przerwaniem łączności był okresem największego paraliżu gospodarki. Ale też usuwanie kolejnych ograniczeń stanu wojennego już zaczęło dawać widome efekty. W drugiej połowie 1982 roku odnotowano pewien wzrost produkcji przemysłowej i poprawę zaopatrzenia ludności. W roku 1983 wzrost produkcji przemysłowej i dochodu narodowego wyniósł 6,4 i 6%. W roku 1984 był nieco niższy, ale nadal wysoki. W roku 1985 wzrost wynosił już 3,2 - dochód narodowy i 4,4 - produkcja przemysłowa. Nadal poprawiało się zaopatrzenie ludności, lecz w jeszcze większym stopniu rosła inflacja i zapasy tzw. gorącego pieniądza. Przeciętna wysokość płac realnych miała pozostawać bez zmian, jeśli zgodzić się z oficjalnymi danymi na temat wzrostu cen, który faktycznie był większy. Zdecydowanie pogorszyły się natomiast relacje w handlu zagranicznym, szczególnie z krajami kapitalistycznymi.

Po przewrocie władzy zależało przede wszystkim na wzroście bieżącej produkcji i poprawie zaopatrzenia, to znaczy na zmniejszeniu tych najbardziej widocznych i bezpośrednio odczuwalnych objawów kryzysu, co się po części udawało do 1985 roku. Robione to było i jest bez liczenia się z moż-

liwościami i perspektywą gospodarki. Nakłady inwestycyjne na jednego mieszkańca w 1982 roku wyniosły 35,2% nakładu przedkryzysowego roku 1977, zaś w 1985 roku - 44%. Zgodnie z planem na drugą połowę lat osiemdziesiątych proces dekapitalizacji majątku trwałego ma ustać dopiero po 1990 roku. Wówczas też ma być osiągnięty przedkryzysowy poziom produkcji i dochodu narodowego na jednego mieszkańca. Oznacza to zatrzymanie się na nie mniej niż dwanaście lat historii gospodarczej Polski, przy jednoczesnym zubożeniu jej i zwiększonym zadłużeniu po upływie tego okresu. Z tym, że większość ekonomistów, wypowiadających się jak najbardziej legalnej prasie, nie wierzy, aby przy tym sposobie gospodarowania było to wykonalne. Plany bowiem są ogłaszane w taki sposób, że to a to - np. zmniejszenie energo- i materiałochłonności - trzeba koniecznie zrobić, w takim a takim wymiarze, do takiego to czasu, że nie ruszymy bez poprawy eksportu o tyle i tyle, bez wzrostu wydajności pracy itp. I te postulaty przedstawiane są jako zadania, które mają być wykonane, mimo że nie widać po temu ani środków, ani możliwości.

REFORMA

1 stycznia 1982 roku zaczęto realizować reformę gospodarczą. Gdyby faktycznie oznaczała ona istotną zmianę sposobu gospodarowania, byłoby to wraz ze znaczącymi efektami, widoczne po prawie pięciu latach i perspektywy na przyszłość byłyby inne. Z szeroko zamierzonej reformy zrealizowano właściwie jedno posunięcie. Zakładom produkcyjnym zwiększono uprawnienia, zmniejszając możliwości korzystania z nich.

Gospodarka polska reformuje się właściwie już od 1956 roku i jedynym kierunkiem, w jakim to czyni, jest decentralizacja. Polega ona na delegowaniu przez wyższe ogniwa pewnych uprawnień w dół, przy czym decyzje tych niższych mogą być zawsze

zmienione czy odwołane. Nie kreuje się nowych podmiotów w gospodarce, w niczym nie zmienia się jej istoty. W jakiś czas po każdym kolejnym kroku decentralizacyjnym stopień faktycznej centralizacji okazuje się większy niż przedtem. Ten sam proces ma miejsce obecnie.

System gospodarowania w Polsce nazywa się nakazowo-rozdzielczym. Obecna zmiana polega na tym, że staje się on na pewnych odcinkach mniej nakazowy, a bardziej rozdzielczy. Z tym, że dziedziny gospodarki, które władzą uznaje za najważniejsze, a które są najdroższe i najmniej wydajne nadal pozostają w obrębie systemu nakazowego, pod zmienionymi nazwami: "zadania operacyjne", "zamówienia rządowe". W pozostałej sferze centrum nie wyznacza już tak bezwzględnie zadań rzeczowych, lecz zabiera praktycznie całą akumulację, nie dając nie tylko możliwości rozwoju, lecz nawet reprodukcji prostej. Zakłady mają się samofinansować, lecz dotyczy to tylko produkcji bieżącej i to nie wszędzie. Wiele działów produkcji jest dotowanych przez centrum, które nadal działa jak pompa ssąco-tłocząca, niwelując ewentualne zyski i straty. Od centrum zależy dopływ środków inwestycyjnych i możliwość ich wykorzystania w postaci przyznania materiałów, maszyn, mocy wykonawczych w budownictwie. A wszystko to odbywa się na podstawie tak licznych i zagmatwanych oraz sprzecznych ze sobą przepisów, że praktycznie każdy zakład kierowany jest indywidualnie, tak jakby w stary, wypróbowany sposób dostawał zadania planowe.

Nie została nawet ruszona podstawowa część reformy, jaką miała być redukcja centralnej administracji gospodarczej i jej bieżącego kierowania gospodarką. Była to zresztą utopia. Ta struktura nie służy zarządzaniu, to jest miejsce samoorganizacji klasy posiadającej. Jej członkowie nie są nadzielani hutami, fabrykami i ziemią, lecz otrzy-

mują miejsce w strukturze władzy, będącej czymś w rodzaju rządzącego Zakonu Krzyżackiego w Prusach. Ministerstwo nie jest dla fabryk, to fabryki mają zapracować na ministerstwo i uzasadnić jego istnienie!

Wyzysk, jak twierdził jeszcze Alexis de Tocqueville, nie na tym polega, że bogaci zabierają biednym, lecz że mogą być bogatymi tylko wówczas, gdy biedni pozostają biednymi. Konsumpcję elity, zgromadzonej w strukturach władzy, gospodarka jakoś by zniosła. Nie jest w stanie natomiast znieść jej zarządzania i aktywności. Przez całe czterdzieści lat, na kolejnych dziesięciu zjazdach partii, na setkach posiedzeń jej Komitetu Centralnego, na tysiącach narad, zapadają przełomowe decyzje o sposobie gospodarowania w całości, o problemie wyżywienia narodu, o rozwiązaniu kwestii mieszkaniowej. Robi się ekspertyzy, wprowadza ustawy, opracowuje plany.

Jeśli zaś wychodzi to, co jest, winne jest społeczeństwo, które nie może, bądź nie chce, zdobyć się na potrzebny wysiłek, a wysuwa nieustanne roszczenia, które chciałoby żyć jak społeczeństwa zachodnie, a nie chce tak jak one pracować.

Nie wiadomo na ile jest to ze strony władzy cyniczna manipulacja propagandowa, a na ile wierzą w to jej przedstawiciele. Wierzy w to jednak także duża część społeczeństwa, w którym w ostatnich latach o dwa lata skróciło się już średnie trwanie życia mężczyzn i o pół roku kobiet. Wierzą w to również nasi przyjaciele z zagranicy, pytający nas, czy nie moglibyśmy, pomimo wszystko, nieco więcej i lepiej pracować...

Ernest Skalski

/przedruk: MOST, 9-10/1986/

S P I S T R E Ś C I

s.

Od redakcji 1
S-ka, Zapiski z"oblężonego miasta",czyli o przyczynach braku dialogu polsko-białoruskiego 2
IBD, W sosie radzieckiej reformy 8
Adam Wanta, Notatki bez przeznaczenia 13
Dokumenty. Społeczna akcja obliczania 21
MER, Na marginesie 36
Maciej Eski, Mały poradnik amerykański /2/ 40
Jacek Zamorski, O własności w świetle encyklik papieskich 53
Armenia: Biologiczna zagłada 85
Zagadka literacka 88

POWTÓRKA Z HISTORII
PAC, Jeżewo - podzwonne dla Glogerów 93

W POSZUKIWANIU NIEZMĄCONEGO PUNKTU
Gustaw Herling-Grudziński 95

KES, "Poetów tutaj zabija się czasami..." Glosa do "Poezji" Osipa Mandelsztama, WL 1984 104
Ernest Skalski, Jak się wytłumaczyć cudzoziemcom, czyli... o leniwych Polakach 108

Numer złożono w maju 1987 r.

550. 2f.